Pod Herbatką i Podpłomykiem

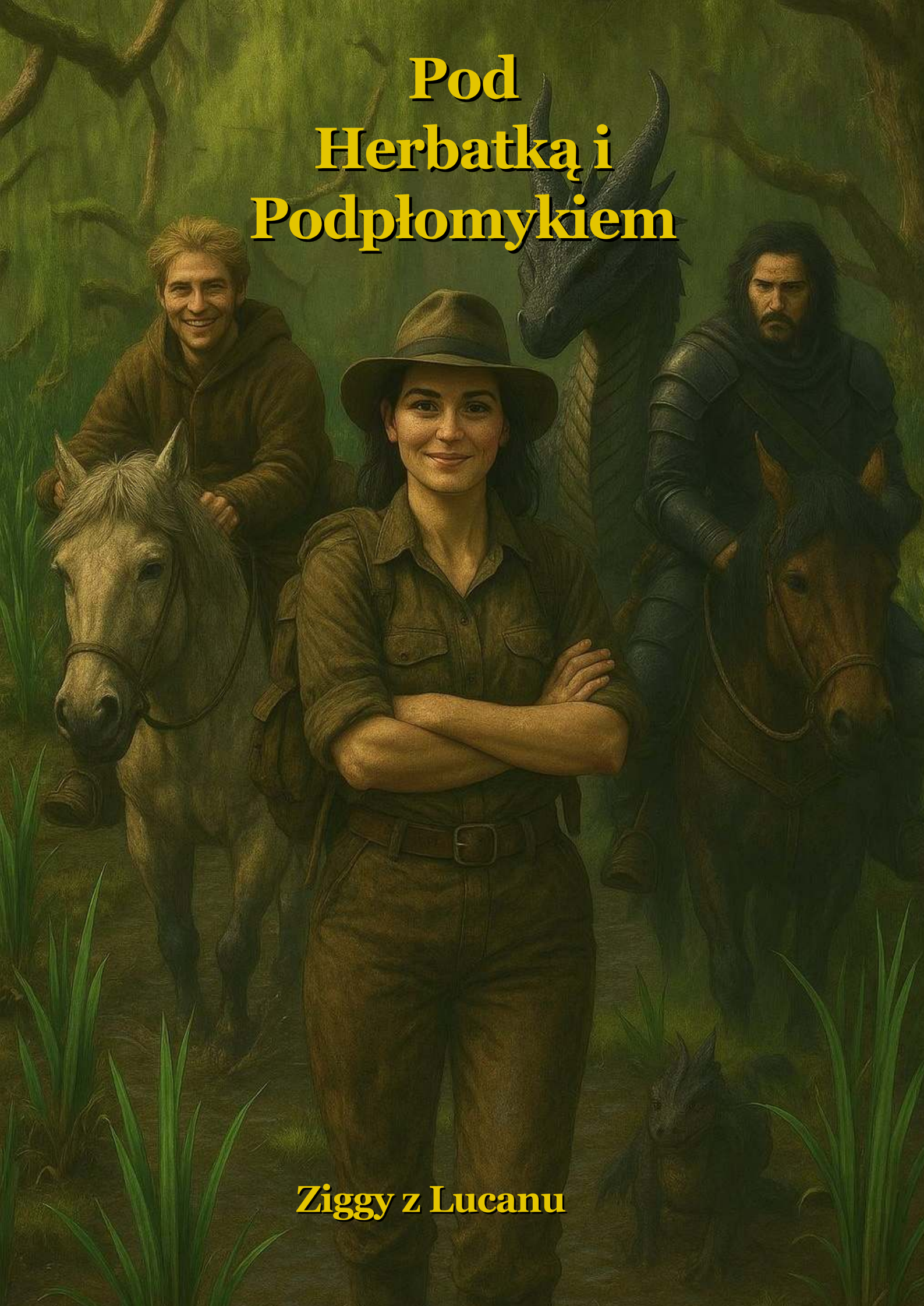

Ziggy z Lucanu

Spis Treści

Prolog epoki złudzień 3
Królowa, która wybrała 9
Kto tu kogo więzi? 17
Objawienie 23
Logistyka dnia codziennego 32
Pani Boru 42
Tropem Futrzaka 52
Poprzez góry 61
Łąki kwieciste i Warownia 69
Golenie i sąd Futrzaka 80
Kto nadaje kierunek? 85
Bardzo ważne spotkania 89
Przemiany i kontrakcja 95

Traktat o Mglistym Ziu 105

Początki 105
O królikach tuningowanych
i zjawisku pionizacji mobilnej 107

Projekt: Lisi Wektor 111

Dalsze przemyślenia
i zwiększenie efektywności 114

Mruczek i edsperyment ostateczny 115
Kwintesencja poszukiwań 122
Liofilizacja i dylematy konsumenckie 125
Wiosna miłości 126

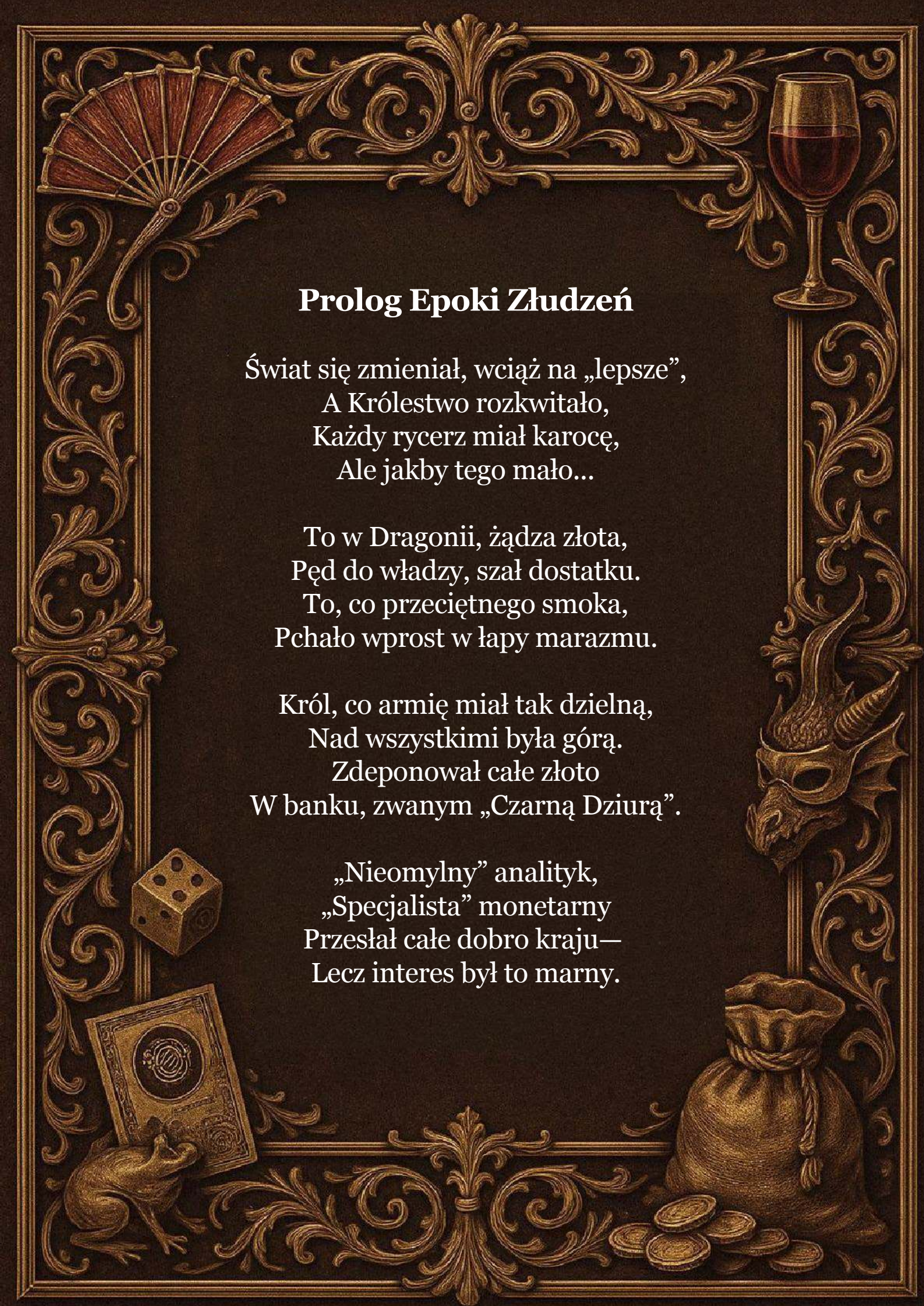

Prolog Epoki Złudzeń

Świat się zmieniał, wciąż na „lepsze”,
A Królestwo rozkwitało,
Każdy rycerz miał karocę,
Ale jakby tego mało…

To w Dragonii, żądza złota,
Pęd do władzy, szał dostatku.
To, co przeciętnego smoka,
Pchało wprost w łapy marazmu.

Król, co armię miał tak dzielną,
Nad wszystkimi była górą.
Zdeponował całe złoto
W banku, zwanym „Czarną Dziurą”.

„Nieomylny” analityk,
„Specjalista” monetarny
Przesłał całe dobro kraju—
Lecz interes był to marny.

Bo Helwetia znana z tego,
Że przyjmuje, nie oddaje.
Wciąż hołduje tej zasadzie —
Co tam wpada, tam zostaje!

Smoki miały kłopot wielki
I nie było im do śmiechu,
Kupowano odzież drogą,
Jednak skąpą, wartą grzechu,

Dziewki łapać? Ale za co?!
Kiedy wszystko jest odkryte,
Każdy dotyk, nawet w locie,
Ma znaczenie swe ukryte!*

Zaś rycerze, co się bili,
Ładu i porządku strzegli,
Popijali teraz trunki,
W bukmacherce byli biegli,

**Hendrick van Drakenhof, „De Verwarring in het Bos”, olej na desce, ok. 881 p.s.o (przed smoczym oświeceniem). Jedno z najczęściej reprodukowanych dzieł szkoły metamorfozy symbolicznej.*

Hendrick van Drakenhof

(ok. 918–889 p.s.o.)

Pochodził z niderlandzkiego miasteczka Verlorenbroek (pl. Zagubione Bagno), niedaleko obecnego Westerbork, gdzie przez wiele lat pracował jako iluminator map smoków – nim jeszcze stał się malarzem. Uważany za prekursora nurtu MS, zasłynął z cyklu malarskiego Verlies en Verlangen („Utrata i Pożądanie"), gdzie przedstawiał symboliczne dylematy stworzeń u progu przemiany.

Zapomniany przez wieki, dziś uznawany za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli szkoły metamorfozy symbolicznej.
Twórca kontrowersyjny, operujący na pograniczu alegorii i jawnej prowokacji — łączył technikę flamandzką z mistyczną tematyką związaną z przemianą duchową.

Nnajsłynniejsze dzieło, „De Verwarring in het Bos" (Zamęt w Lesie), stanowiło przez wieki obiekt zakazany, nawet w kręgach akademickich. Krytycy zarzucali mu nieprzyzwoitość i przekroczenie granic przedstawienia cielesności panien przedkonwertywnych, podczas gdy inni — jak prof. Smygelstein van den Geer — uznawali go za „proroka przemiany przez sztukę".

Jego atelier mieściło się na strychu starego browaru, gdzie — jak twierdził — opary jęczmienia ułatwiały kontakt z podświadomością. Nigdy nie ożenił się, choć pozostawił po sobie dziennik, w którym wielokrotnie wspomina „Pannę w Żółtym" — najprawdopodobniej tę, która pojawia się w jego najbardziej znanym dziele „De Verwarring in het Bos".

Uważny obserwator, dostrzeże małego smoka przytulajacego się do uda „Panny w Żółtym", historycy sztuki w wiekszosci sklaniaja sie do tezy, że autor w ten właśnie sposób starał się wyrazić swoją tęsknotę za niespełnioną miłością, umieszczając małego smoka, jako alegoryczną personifikację swojej osoby.

Pod koniec życia popadł w konflikt z miejscową parafią, gdy w dziele „Zstąpienie św. Teofila" smok został przedstawiony jako... archanioł z kielnią i dzbanem wina. Zmuszony do emigracji, Van Drakenhof zmarł samotnie w Wieży Fermentacji Twórczej, po niefortunnej próbie odtworzenia zakazanej receptury herbatki, niejakiego Mglistego Ziu, pradawnego zielarza i alchemika, pragnąc — jak głoszą legendy — samodzielnie dostąpić iluminacji i porwać własną wyśnioną Dziewicę w Żółtym...

Dopiero w 74 p.s.o. jego artystyczna spuścizna została odnaleziona w archiwach Warowni Północnej (dawna Wieza Fermentacyjna Twórczej) przez ekipę Archeohistorii Wizualnej pod wodzą Sir Igora de Vostro. Od tej pory stał się czołowym twórcą swojej epoki.

Obstawiali swoich giermków,
Zamiast sami stawać w szranki.
Wypychali sakwy złotem,
By uwodzić swe wybranki.

Wyśmiewano etos pracy,
Konie w gniewie krzyk podniosły,
Ten się liczy, kto bogaty!
Traktujecie nas, jak osły?

Z rzadka w kuchni ogień płonie,
Nowy trend i inna moda,
To obżarstwo w skrajnej formie,
To jest dieta pudełkowa!

Jeśli uważny czytelnik doliczył się tu siedmiu grzechów głównych — to czysta koincydencja.
Nie należy przywiązywać do tego zbytniej wagi.

Chociaż Smok Redaktor poprosił o dodanie tej informacji,
bo — jak twierdzi — lubi liczby pierwsze.

Żar ogniska unosił iskry wysoko nad jego głową.
Powietrze stało, jakby bało się zakłócić ten moment.
Pochylony nad notatnikiem, zapisywał gorączkowo swoje myśli —
tak intensywnie, że litery zdawały się płonąć.

„To nie papier płonął, ale dusza, a iskrzenie tej duszy odbiło się w zapisanych słowach.”

A Teofil sedzi i marzy gdzieś w lesie,
Namiot rozbity — cisza się niesie,
„Nie jest to warte mojego wspomnienia,
Niech zdechnie, odejdzie,
niech się wreszcie zmienia!”

Więc, nuci pod nosem to, co dziś wymyślił,
Co z głowy do serca tak sprytnie przemycił:

„Mądrość, ach mądrość, wszelkich cnót podpora,
Bywa w niełasce, nie na nią jest pora.
Zaś arogancja do społu z głupotą,
Mają pięć minut — epokę swą złotą.”

Królowa, kóra wybrała

Cisza się niosła krużgankmi zamku,
A krople mąciły sielankę wieczoru,
Wracała w pośpiechu w myślach głęboka,
Przez miejsca znajome, bezpieczne z pozoru.

Wtem, zza węgła — cień wrogi wygląda,
Znajomą postać brutalnie trzymając,
Usta zakrywa, dłońmi ją krępuje,
Przodem prowadzi, uścisk wciąż wzmagając.

„Zostaw ją!” — krzyczy, głosu drżenie tłumiąc,
Znam cię i ty wiesz z kim masz do czynienia,
Królowa staje bez lęku przed wrogiem,
Odsłania twarz w obliczu przeznaczenia,

Napastnik zamarł, na chwilę zastygł,
Co w jednej chwili ofiara pojęła,
Depcząc z rozpędem palce jego nogi,
Skoczyła w bok, a potem odbiegła.

Ona ci nic nie da, a ja mogę wszystko —
Wybieraj mądrze, póki noc cię wspiera,
Możesz wygrać wiele, albo się pogrążyć,
Tylko odważnych fortuna wybiera!

Zrobił krok w jej strone, w milczącym napięciu,
Choć coś na moment go powstrzymało,
„Wahasz się, tchórzysz? Wiesz dobrze —
Już tylko jedno wyjście ci pozostało.”

Szarpnął gwałtownie – poczuła ból barku,
„Uciekaj!” – do Niny Królowa krzyknęła.
Wleczona przez mrok, jak przedmiot bez wagi,
W ciszy ciemnej bramy, za rogiem zniknęła.

„Głupcze!” — Myślała władczyni w skrytości,
Dałeś mi szansę o której marzyłam,
Rzuciłam kości, a tyś przyjął zakład,
Nieuchronności — machina druszyła.”

Królowa od pewnego czasu szukała okazji do rewanżu na Baranie za jego brutalne traktowanie i uwięzienie w lochu. Niepokoił ją też postępujący rozkład w państwie i bierność jego możnych. Jak mawiano:
„Nie wierz w cuda — polegaj na nich”.
Los dał jej niespodziewanie szansę zagrania vabank.
Początkowo ryzykowała wiele, lecz w miarę rozwoju wydarzeń zaczęła zyskiwać przewagę, by — w najlepszym dragonijskim stylu — upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pojmać przestępcę i obudzić sumienia rodaków.

Nina w rozpaczy pobiegła do męża,
Wstrzymując dech i tłumiąc wzburzenie,
„Porwał Królową! Za bramą zniknęła!
Nie mogłam nic — to było jak mgnienie!”

Czarny ją objął, przygarnął do siebie,
Przez chwilę milczał …i ona milczała.
Próbował szybko układać fakty,
Sprawić, by Nina dłużej nie płakała.

Chwilę to trwało, nim doszła do siebie.
„Taka byłam słaba — brakowało ciebie!”
Rycerz wściekł się — „tego nie daruję!
Ja Futrzakowi skórę wygarbuję”.

„Budzę Teofila, czas ostrzyć rapiery!
Wełniany zdrajco! — Będę z tobą szczery,
Lepiej zwijaj manatki, podkul swój ogonek —
To jest już dla ciebie ostateczny dzwonek!”.

Willem Evert van Drakenhof (potomek mistrza, trzecie pokolenie) „Consolatio” (Pocieszenie), olej na płótnie, ok. 1042 p.s.o. (ok. 150 lat po wydarzeniach z „Zamętu w Lesie”).
Autor – Willem Evert van Drakenhof, potomek Hendricka, kontynuował tradycję szkoły metamorfozy symbolicznej, łącząc mistykę światła ze złożoną symboliką emocji.
Znany z fascynacji ideą równoległych rzeczywistości i „odbitych decyzji”, co część badaczy uznaje za artystyczne przeczucie teorii Hugha Everetta III — koncepcji wieloświatów, w której każda emocja i wybór rozszczepiają rzeczywistość niczym skrzydła smoka w locie.

Dzieło przedstawia intymną scenę pojednania i wewnętrznego ukojenia po burzy emocji.
Niektórzy znawcy próbowali wiązać ją z opisanym w „Pieśni o Królestwie i Kontrakcji” momentem powrotu Niny do męża, jednak — jak się dziś przyjmuje — podobieństwo to ma charakter jedynie symboliczny, wynikający raczej z uniwersalnej idei „pocieszenia po rozdarciu” niż z faktycznego odniesienia historycznego.

„Dlaczego się dobijasz o tak wczesnej porze?
Sen cię opuścił — Nina spać nie może?!
Ten kto ma rozum, tak mi się wydaje,
Śpi... albo w łóżku przynajmniej pozostaje”.

Teofil był wyraźnie poirytowany,
Z kawą w jednej ręce, wzrok miał rozbiegany.
„Królowa porwana — mówisz, niech ja to przemyślę.
Nie dramatyzmuj, stary — Ona jest szachistą,
ona jest w tym mistrzem”.

Zaczął, więc go drażnić, podkręcać napięcie,
Wiedział, bowiem w jakiej Rycerz jest rozsterce,
Pastwiąc się, znęcając, szydząc bez litości,
Doprowadził Czarnego do furii i złości.

„Jeśli nie przestaniesz, pożałujesz tego!
Nie ręczę za siebie — uważaj kolego!
Ten uśmiech zniknie, gdy węzmę nahajkę,
Walnę cię raz! — Chcesz opuścić bajkę?”

Teofil był doskonale poinformowany — znał sytuację na dworze lepiej niż sekretarz Króla.
Jeśli naprawdę doszło do porwania Królowej, mogło to oznaczać tylko dwie rzeczy:
albo ktoś postradał zmysły, albo władczyni dokładnie wiedziała, co robi.
Z racji zdroworozsądkowego podejścia do życia, odrzucił pierwszą możliwość.
Co zaś do jego kpiny z przyjaciela — miał aż nazbyt trafne wyobrażenie o tym,
jak bardzo Władczyni upodobała sobie pewnego Rycerza...

„Popatrz, mój drogi, co ona zrobiła,*
Ratując Ninę – co ci obwieściła.
Jak bardzo jej zależy – na niej i na tobie,
Ileż empatii w jednej tej osobie!”.

„Oczywiście, że pomogę, nie odmówię sobie,
Barana dopadniemy — pasztet z niego zrobię!
Uspokój się tylko, przestań mnie tu dręczyć,
Królowa będzie wolna, za to mogę ręczyć!”.

**Rzeczywiście, działania Królowej zasługiwały na większą uwagę, bowiem biegły wielotorowo. Z jednej strony — nie był jej obojętny Czarny, i dlatego za wszelką cenę chciała ochronić Ninę, która po porwaniu prawdopodobnie nigdy by już do niego nie wróciła (Baran zadbałby o to, trzymając ją jako zakładniczkę).*
Z drugiej strony — Królowa świadomie podjęła ryzyko, licząc, że w jej wypadku Królestwo poruszy niebo i ziemię, aby ją uwolnić, co doprowadzi do ostatecznego upadku futrzastego uzurpatora i jednocześnie wzmocni jej pozycję jako władczyni.

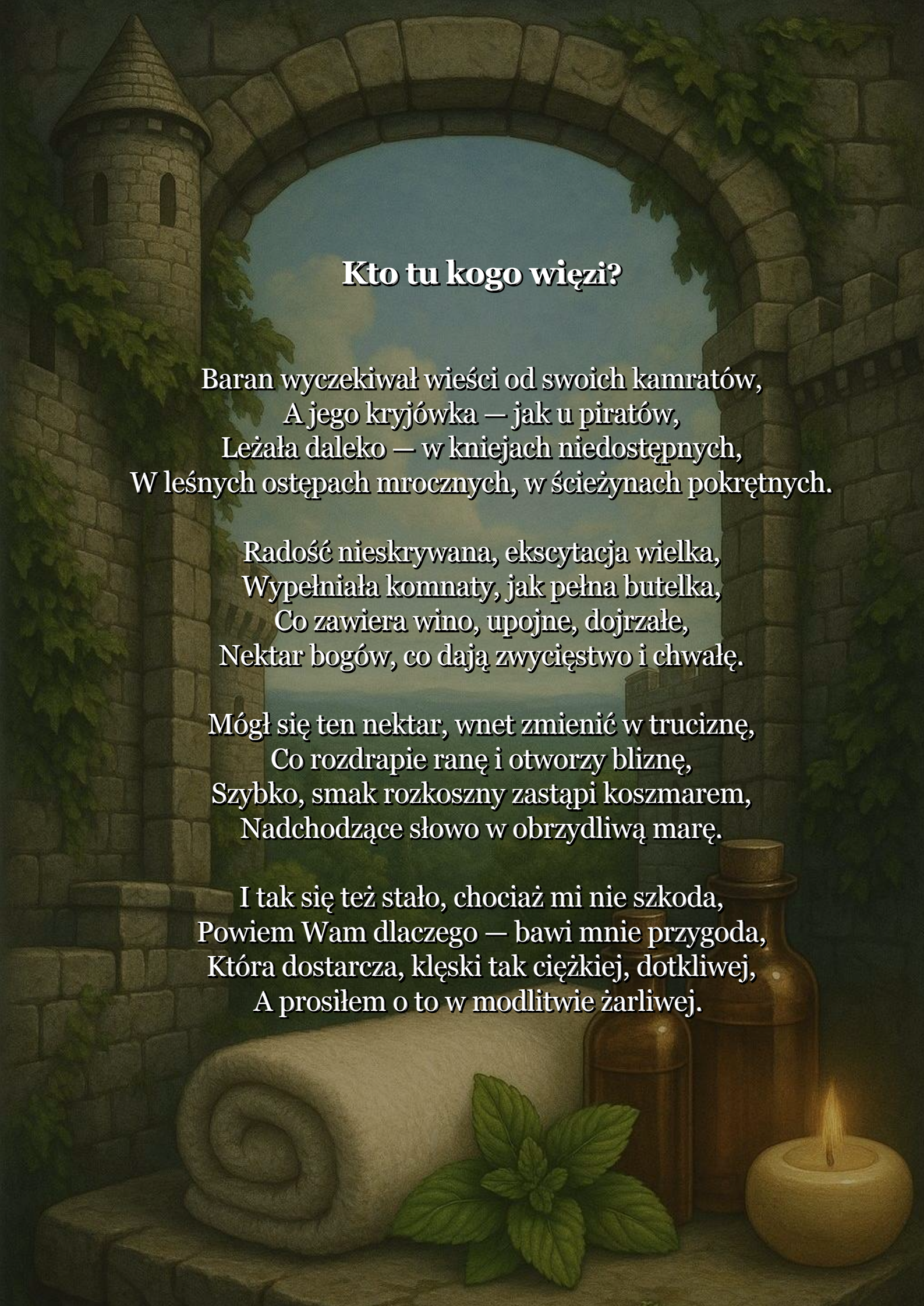

Kto tu kogo więzi?

Baran wyczekiwał wieści od swoich kamratów,
A jego kryjówka — jak u piratów,
Leżała daleko — w kniejach niedostępnych,
W leśnych ostępach mrocznych, w ścieżynach pokrętnych.

Radość nieskrywana, ekscytacja wielka,
Wypełniała komnaty, jak pełna butelka,
Co zawiera wino, upojne, dojrzałe,
Nektar bogów, co dają zwycięstwo i chwałę.

Mógł się ten nektar, wnet zmienić w truciznę,
Co rozdrapie ranę i otworzy bliznę,
Szybko, smak rozkoszny zastąpi koszmarem,
Nadchodzące słowo w obrzydliwą marę.

I tak się też stało, chociaż mi nie szkoda,
Powiem Wam dlaczego — bawi mnie przygoda,
Która dostarcza, klęski tak ciężkiej, dotkliwej,
A prosiłem o to w modlitwie żarliwej.

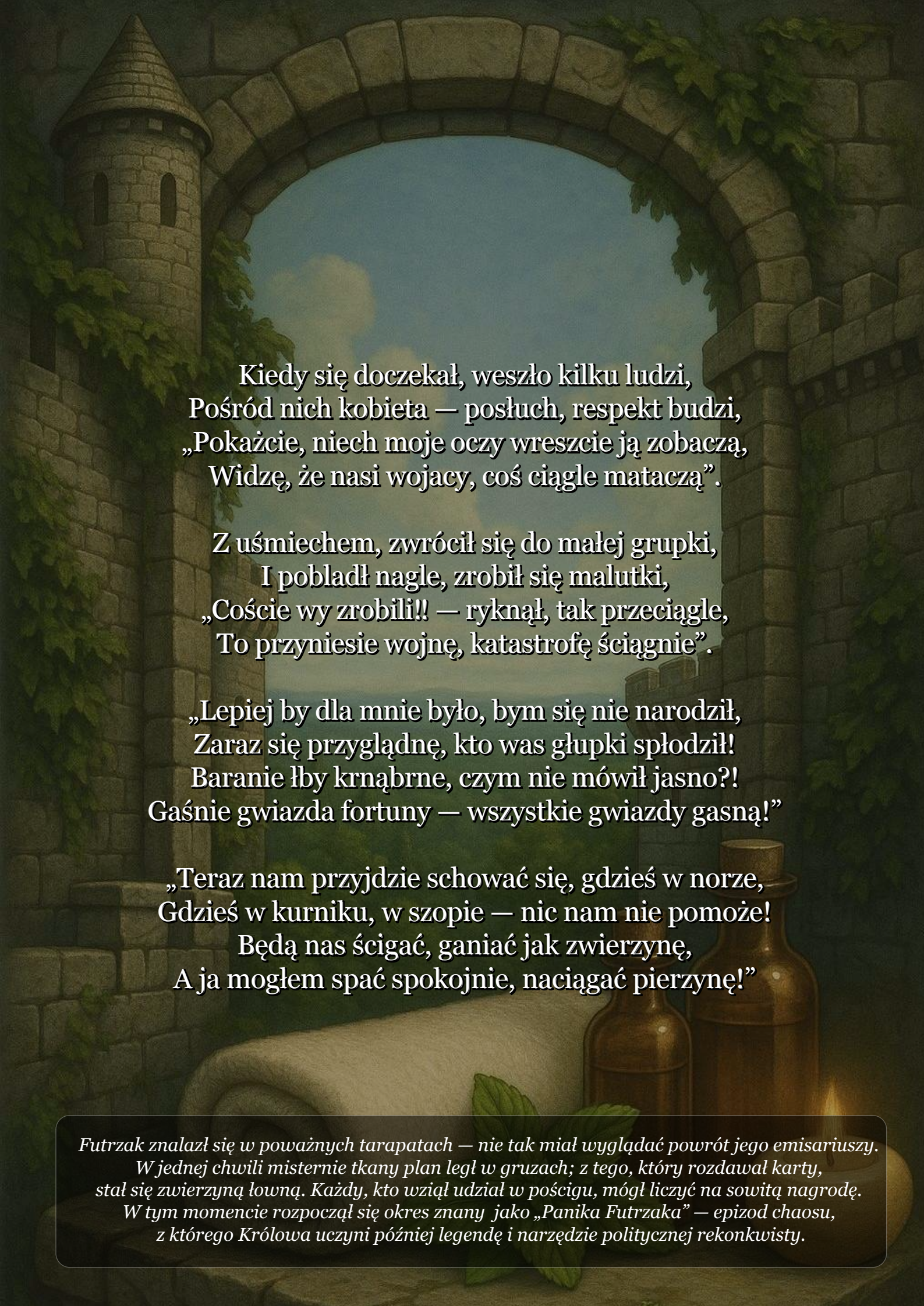

Kiedy się doczekał, weszło kilku ludzi,
Pośród nich kobieta — posłuch, respekt budzi,
„Pokażcie, niech moje oczy wreszcie ją zobaczą,
Widzę, że nasi wojacy, coś ciągle mataczą”.

Z uśmiechem, zwrócił się do małej grupki,
I pobladł nagle, zrobił się malutki,
„Coście wy zrobili!! — ryknął, tak przeciągle,
To przyniesie wojnę, katastrofę ściągnie”.

„Lepiej by dla mnie było, bym się nie narodził,
Zaraz się przyglądnę, kto was głupki spłodził!
Baranie łby krnąbrne, czym nie mówił jasno?!
Gaśnie gwiazda fortuny — wszystkie gwiazdy gasną!”

„Teraz nam przyjdzie schować się, gdzieś w norze,
Gdzieś w kurniku, w szopie — nic nam nie pomoże!
Będą nas ścigać, ganiać jak zwierzynę,
A ja mogłem spać spokojnie, naciągać pierzynę!”

Futrzak znalazł się w poważnych tarapatach — nie tak miał wyglądać powrót jego emisariuszy. W jednej chwili misternie tkany plan legł w gruzach; z tego, który rozdawał karty, stał się zwierzyną łowną. Każdy, kto wziął udział w pościgu, mógł liczyć na sowitą nagrodę. W tym momencie rozpoczął się okres znany jako „Panika Futrzaka” — epizod chaosu, z którego Królowa uczyni później legendę i narzędzie politycznej rekonkwisty.

Do Królowej, zaś szeptem — zwrócił się pokornie:*
“Wybacz Pani, tę wpadkę — tak bywa na wojnie!
Odeślemy Cię najszybciej — trzymać nie wypada,
To naszej dyplomacji, święta jest zasada!”

Lecz Władczyni rozgląda się, robi słodką minę,
“Chcecie mnie puścić do lasu — samotną dziewczynę?”
“Mnie tu jest dobrze, sarenki i pszczółki,
Na dworze nuda — dworzanie, rachunki…”

„Chciałabym się oderwać, prostoty skosztować,
Jeśli nie masz nic przeciwko, na chwilę się schować…
Z dala od protokołów, konwenansów, sporów,
W cieniu zagajnika, bez dworskich humorów”.

Baran zbaraniał, zrobił śmieszną minę,
Przesunął się, gestem zaprosił Władczynię,
Oddano jej pokój z widokiem na knieje,
„Żyć nie umierać” — pomyślała — „teraz to się dzieje!!”

“Tak właśnie działała Szkoła Wywierania Presji Kulturalnej — uprzejmość twarda jak stal, uśmiech jaśniejszy niż ostrze miecza, i serdeczność, która powodowała, że nawet najtwardszy bandzior zaczynał się czuć jak uczeń przed nauczycielką matematyki. Baran mógłby jeszcze próbować walczyć… gdyby nie to, że właśnie mentalnie dostał pałą po łbie.

„Ja się rozgoszczę, tak jak lis w kurniku,
A możliwości, ku temu, jest tutaj bez liku,
Żywię tylko nadzieję, iż w grodzie zawrzało,
Że to moje zniknięcie, dumę połechtało!”

Tak, oto Królowa z nimi się droczyła,
A w ramach ustaleń o SPA zahaczyła,*
Ona wzięła co chciała, Baran wziął nadzieję,
Że go to ocali, moralnie ogrzeje.

Królowa wiedziała, że nie każde zwycięstwo wymaga oręża.
Czasem wystarczy poduszka, miękka kołdra i nieco lawendy,
by przeciwnik sam zrezygnował z walki.
Nie siła — lecz komfort bywa narzędziem dominacji.

Choć porwana przez Barana, Królowa błyskawicznie przejęła inicjatywę i — zamiast lamentować — zażądała porannego joggingu, kąpieli w jeziorze, ziołowych maseczek i masaży (w końcu człowiek musi jakoś wyglądać). Nie obyło się bez kontrowersji, bowiem już po trzech dniach Warownia przypominała raczej ośrodek wellness niż miejsce odosobnienia.

Nawet najbardziej zatwardziali poplecznicy Barana czuli się zdezorientowani, a on sam zaczął podpytywać o zabiegi na rogi i wełnę. Później, jakość jego wełny wzbudziła powszechny zachwyt. Z czasem zbił na niej majątek i zdobył polityczne korzyści, co miało daleko idące konsekwencje w realiach gospodarczych regionu.
Ale to już zupełnie inna opowieść...

Objawienie

„Słońce głaszcze szuwary jeziora,
Oto o świcie przyszła na to pora,
Odsłania światłem, skryte tajemnice,
Zmieniając każdy refleks w groźną błyskawicę

A ona — jak syrena, pogrążona w toni,
Za pan brat z falami, słońca promień goni,
Upojona zmęczeniem, wciąż rozkoszy głodna,
Pożąda wysiłku — pożądania godna.

Nie była sama w tej intymnej chwili,
Nie tylko ptaki, drzewa jej świadkami byli,
Lecz również Dziki Smok, co puszczę przemierzał,
Spostrzegł piękno czyste — oczom nie dowierzał.

Usiadł więc na brzegu, suspens prowokując,
Czekał rozwinięcia, nimfy wypatrując,
„Pani” — rzekł po chwili, nabożnie klękając,
Gdy się wynurzyła, włosy układając.

„Możesz wstać” — Królowa gestem nakazała,
„Co za siła w tę głuszę do mnie cię tu pchała?”
„Wielka Przewodniczka przyjdzie — w Księgach zapisano,
Nam, Dzikim Smokom, wieść tę przekazano.”

Tu dobył zwój niewielki, szybko go rozwinął,
Zaczął go cytować z tak nabożną miną,
Że gdyby nie zmęczenie oraz brak oddechu,
Królowa z pewnością pękła by ze śmiechu.

Jak to, piękna nimfa z wody się wyłania,
Układa swe ciało, jak prześliczna łania,
I w promieniach słońca lico ukazuje,
Tym, co byli wierni — przyszłość obiecuje.

Władczyni stojąc, twarz ku słońcu wznosi,
Jak rzeczona łania układa — a smoka zaś prosi,
„Prowadź mnie do tych, co chcą oświecenia,
To jest czas przemian — niech ten się świat zmienia!”*

**Smok Redaktor odnotowuje z uznaniem, że mimo braku certyfikatu ISO bez udziału komisji etycznej, proces oświecenia przebiegł sprawnie – bez ofiar w ludziach ani smokach…*

I zagłębili się w puszczę — jak w otchłań nicości,
On ją prowadził, ona — bez większych trudności,
Podążała wciąż dociekając, co ją dziś spotkało,
I jak otrzymać korzyści z tego co się stało.

Tak przemieżali bezdroża — doszli na polanę,
Światło się przebiło przez gęstą liści ścianę,
Tam zobaczyła rzecz dziwną, można rzec oniryczną,
Stado Dzikich Smoków, rytuał — mszę mityczną.

A jej przewodnik powoli podszedł do lidera,
Mówili w ich języku — ten drugi coś otwiera.
Rozwija, zanurza nos w pergaminie,
Patrzy na nią spode łba — chwila za chwilą płynie...

Ona z przestrachu się kurczy, już skora do ucieczki,
W głowie czerwona lampka, alarmu dźwięczą dzwoneczki.
Tymczasem ten starszy, gestem zaprasza ją do siebie:
„Odnalazłaś się” — woła — „tak bardzo brakowało nam ciebie!”.

Myśli biegały w głowie — „Stoję tu jak kukiełka,
Co to za ceremonia? Co to za jasełka?”
I wtedy jej przewodnik w wielkim uniesieniu,
Podaje gorący napój w Smoczej Rady imieniu.

Świat zawirował w szaleństwie, a warstwy — jedna na drugą —
Nakładały się naprzemienie, płynąc szeroką strugą
Była wszędzie i nigdzie, w jutrzejszym dniu i niebycie,
Czuła zapach przyszłości, na samej wiedzy szczycie.

W potoku obcych myśli poznała pragnienia innych,
Plany i marzenia, skryte wyznania winnych.
Była kryształową kulą i wróżką w jednym była,
Oddzielała prawdę od fałszu — i ją przywłaszczyła.

„Zdejmij trzewiki, córko...”* — zza pleców usłyszała,
„Jesteś Naszą wybranką, Opatrzność cię wybrała!”
Obróciła się... i nikogo nie było —
Jakby jakaś mara, jakby jej się śniło...

**Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń opisanych w księgach uznanych (lub nie) za święte, jest czysto przypadkowe i niezamierzone. Bohaterka działała pod wpływem ziół i mgły emocjonalnej. Autor nie ponosi odpowiedzialności za interpretacje — zwłaszcza te opierające się na głosach i trzewikach.*
Nie ponosi też odpowiedzialności za stosowanie ziół i innych substancji przez swoich bohaterów i ich naśladowców.

Po dłuższej chwili takiej ekscytacji, wizje ustąpiły,
A twarde realia puszczy trzeźwość przywróciły.
Patrzyła uważnie, przyglądała się swojej gwardii,
Próbując rozpoznać członków smoczej armii.

Sprawa z pozoru błaha — okazała się trudną wielce,
Bo smok smokowi podobny, jak kropla kropelce.
I konia z rzędem temu, kto się w tym połapie —
To jak nawlec igłę, skacząc na kanapie.

Więc, niewiele myśląc w szereg ich układa:
„Musi się znaleźć ktoś, kto wam imienia nada!
Inaczej ja zwariuję, dostanę obłędu,
Nie jest to sprawa rytuału, li tylko obrzędu.”

„Bo jeden syczy, drugi chrząka, trzeci robi miny,
A czwarty kopiuje ruchy, nadobnej dziewczyny.
Ja was do kowala oddam, numery wypalę,
A mit o smoczych klonach do szczętu obalę!”*

Jak, postanowiła, tak też uczyniła,
W Warowni, po przybyciu ogień rozpaliła,
I każdemu z krnąbrnych, co się śmiał pod nosem,
Wypaliła znak Królowej, na złość i z przekąsem.

**Dzikie Smoki (DSy), wykorzystując swoje zewnętrzne podobieństwo, doprowadzały Królową do rozpaczy: każdy sukces był ogłaszany jako „mój pomysł”, „moja zasługa” lub wręcz „to ja to zrobiłem”. Natomiast w przypadku porażek, kompromitacji lub innych niewygodnych epizodów – nagle nikt nic nie pamiętał. Albo „to był zupełnie inny smok” (najczęściej wskazując pazurem w stronę identycznie wyglądającego towarzysza). Ostatecznie Królowa zaczęła podejrzewać, że całe „stadko” się zmówiło, by przetestować granice jej cierpliwości. Nie były to podejrzenia bezpodstawne…*

Znak Królowej miał pierwotnie być środkiem dyscypliny, lecz szybko stał się elementem dumy. Niektóre smoki próbowały go sobie wypalić samodzielnie, inne kombinowały z tatuażami. Ostatecznie i tak wszystko skończyło się na licytacjach: kto ma „oryginał”, a kto tylko „kopię z rynku wtórnego”.

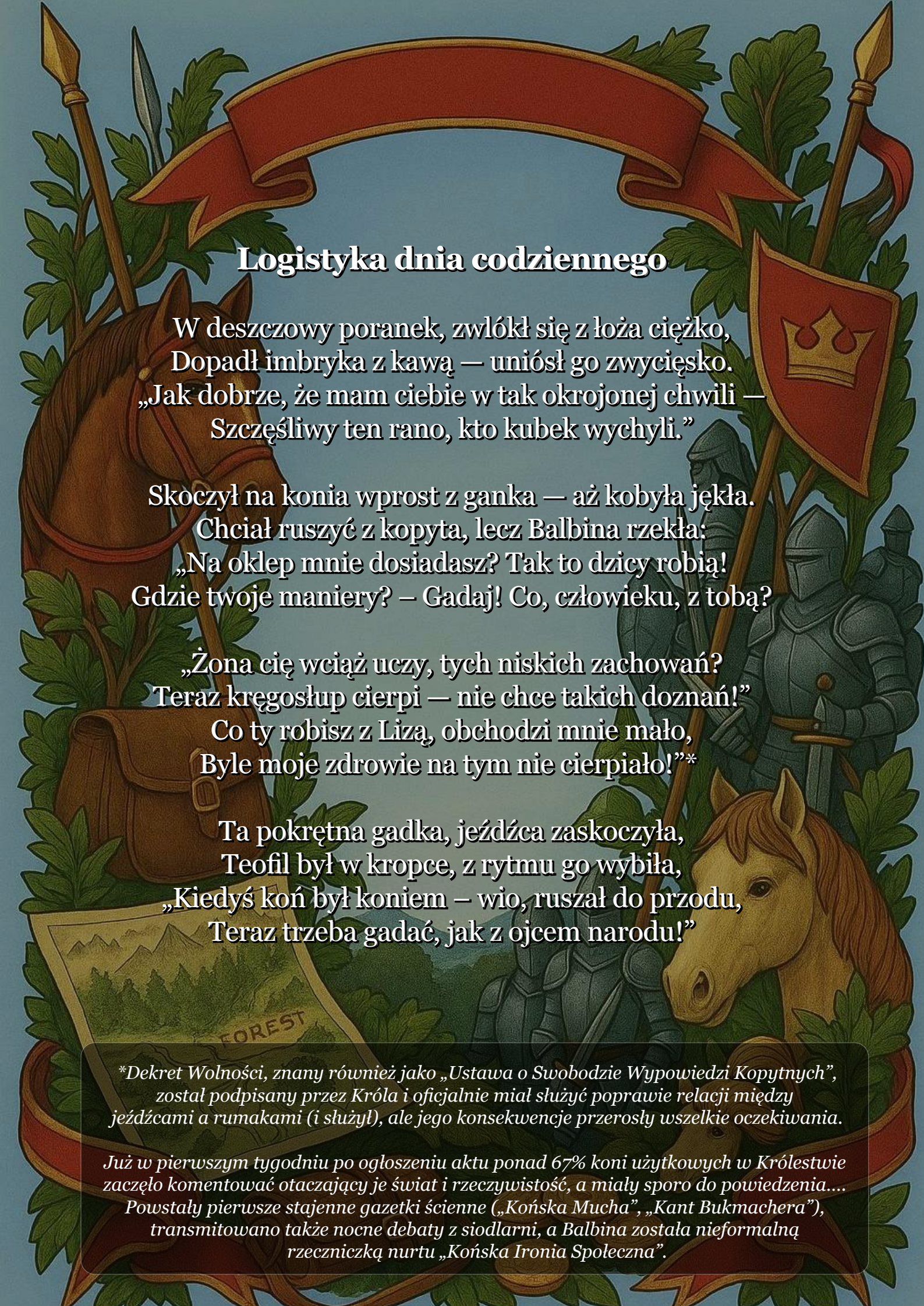

Logistyka dnia codziennego

W deszczowy poranek, zwlókł się z łoża ciężko,
Dopadł imbryka z kawą — uniósł go zwycięsko.
„Jak dobrze, że mam ciebie w tak okrojonej chwili —
Szczęśliwy ten rano, kto kubek wychyli.”

Skoczył na konia wprost z ganka — aż kobyła jękła.
Chciał ruszyć z kopyta, lecz Balbina rzekła:
„Na oklep mnie dosiadasz? Tak to dzicy robią!
Gdzie twoje maniery? – Gadaj! Co, człowieku, z tobą?

„Żona cię wciąż uczy, tych niskich zachowań?
Teraz kręgosłup cierpi — nie chce takich doznań!”
Co ty robisz z Lizą, obchodzi mnie mało,
Byle moje zdrowie na tym nie cierpiało!”*

Ta pokrętna gadka, jeźdźca zaskoczyła,
Teofil był w kropce, z rytmu go wybiła,
„Kiedyś koń był koniem – wio, ruszał do przodu,
Teraz trzeba gadać, jak z ojcem narodu!”

**Dekret Wolności, znany również jako „Ustawa o Swobodzie Wypowiedzi Kopytnych”, został podpisany przez Króla i oficjalnie miał służyć poprawie relacji między jeźdźcami a rumakami (i służył), ale jego konsekwencje przerosły wszelkie oczekiwania.*

Już w pierwszym tygodniu po ogłoszeniu aktu ponad 67% koni użytkowych w Królestwie zaczęło komentować otaczający je świat i rzeczywistość, a miały sporo do powiedzenia…. Powstały pierwsze stajenne gazetki ścienne („Końska Mucha”, „Kant Bukmachera”), transmitowano także nocne debaty z siodlarni, a Balbina została nieformalną rzeczniczką nurtu „Końska Ironia Społeczna”.

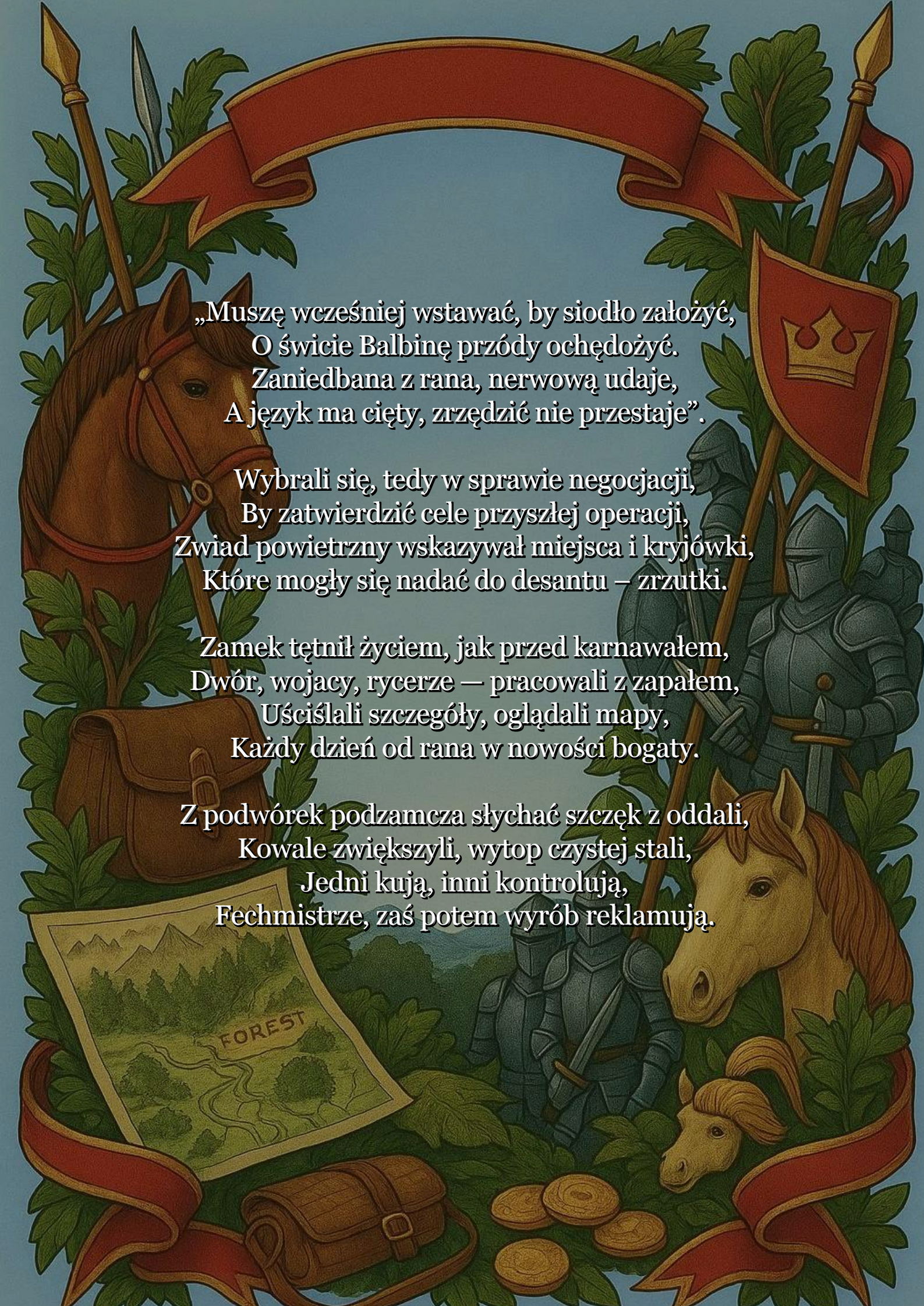

„Muszę wcześniej wstawać, by siodło założyć,
O świcie Balbinę przódy ochędożyć.
Zaniedbana z rana, nerwową udaje,
A język ma cięty, zrzędzić nie przestaje”.

Wybrali się, tedy w sprawie negocjacji,
By zatwierdzić cele przyszłej operacji,
Zwiad powietrzny wskazywał miejsca i kryjówki,
Które mogły się nadać do desantu – zrzutki.

Zamek tętnił życiem, jak przed karnawałem,
Dwór, wojacy, rycerze — pracowali z zapałem,
Uściślali szczegóły, oglądali mapy,
Każdy dzień od rana w nowości bogaty.

Z podwórek podzamcza słychać szczęk z oddali,
Kowale zwiększyli, wytop czystej stali,
Jedni kują, inni kontrolują,
Fechmistrze, zaś potem wyrób reklamują.

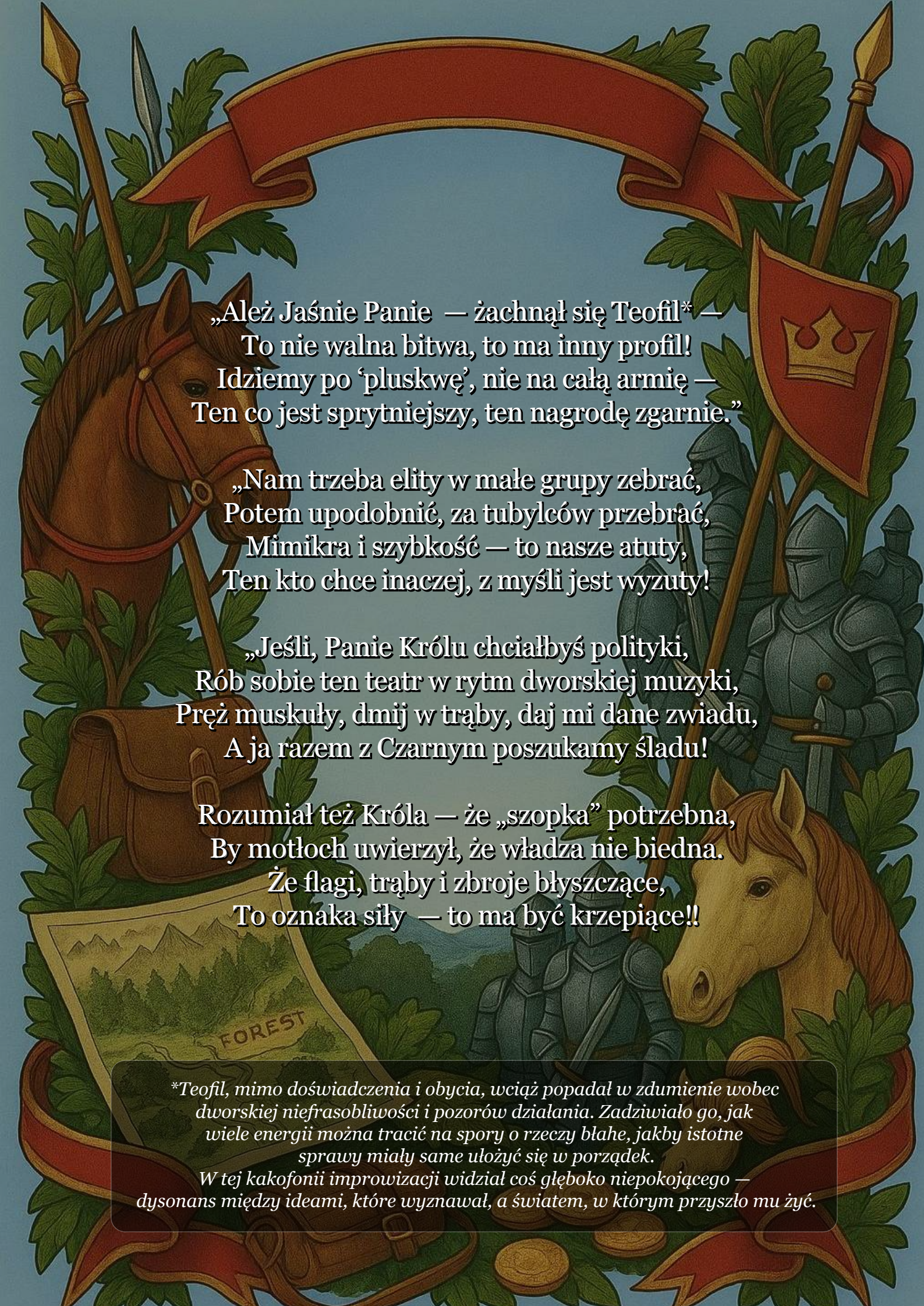

„Ależ Jaśnie Panie — żachnął się Teofil* —
To nie walna bitwa, to ma inny profil!
Idziemy po ‘pluskwę’, nie na całą armię —
Ten co jest sprytniejszy, ten nagrodę zgarnie.”

„Nam trzeba elity w małe grupy zebrać,
Potem upodobnić, za tubylców przebrać,
Mimikra i szybkość — to nasze atuty,
Ten kto chce inaczej, z myśli jest wyzuty!

„Jeśli, Panie Królu chciałbyś polityki,
Rób sobie ten teatr w rytm dworskiej muzyki,
Pręż muskuły, dmij w trąby, daj mi dane zwiadu,
A ja razem z Czarnym poszukamy śladu!

Rozumiał też Króla — że „szopka” potrzebna,
By motłoch uwierzył, że władza nie biedna.
Że flagi, trąby i zbroje błyszczące,
To oznaka siły — to ma być krzepiące!!

*Teofil, mimo doświadczenia i obycia, wciąż popadał w zdumienie wobec dworskiej niefrasobliwości i pozorów działania. Zadziwiało go, jak wiele energii można tracić na spory o rzeczy błahe, jakby istotne sprawy miały same ułożyć się w porządek.
W tej kakofonii improwizacji widział coś głęboko niepokojącego — dysonans między ideami, które wyznawał, a światem, w którym przyszło mu żyć.

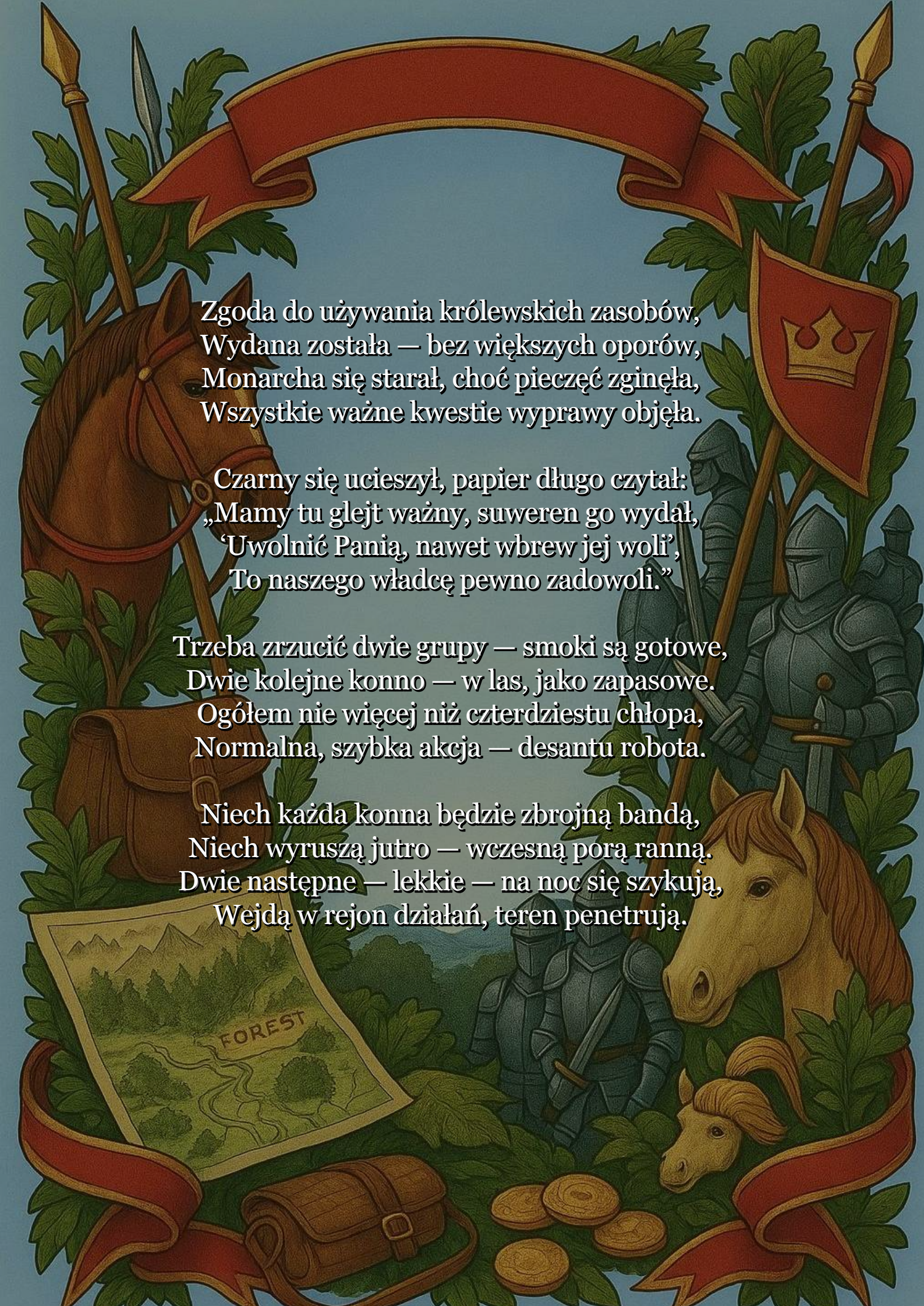

Zgoda do używania królewskich zasobów,
Wydana została — bez większych oporów,
Monarcha się starał, choć pieczęć zginęła,
Wszystkie ważne kwestie wyprawy objęła.

Czarny się ucieszył, papier długo czytał:
„Mamy tu glejt ważny, suweren go wydał,
‘Uwolnić Panią, nawet wbrew jej woli’,
To naszego władcę pewno zadowoli.”

Trzeba zrzucić dwie grupy — smoki są gotowe,
Dwie kolejne konno — w las, jako zapasowe.
Ogółem nie więcej niż czterdziestu chłopa,
Normalna, szybka akcja — desantu robota.

Niech każda konna będzie zbrojną bandą,
Niech wyruszą jutro — wczesną porą ranną.
Dwie następne — lekkie — na noc się szykują,
Wejdą w rejon działań, teren penetrują.

Smoki uwielbiały nocne eskapady, a gdy dowiedziały się, że szykuje się zorganizowana wyprawa w większej grupie — nie posiadały się z radości. Wyznawały prostą zasadę: im ciemniej, tym lepiej (zawsze można przecież oświetlić sobie drogę własnym ogniem). Dlatego księżyc, choć romantyczny, wyraźnie im przeszkadzał.

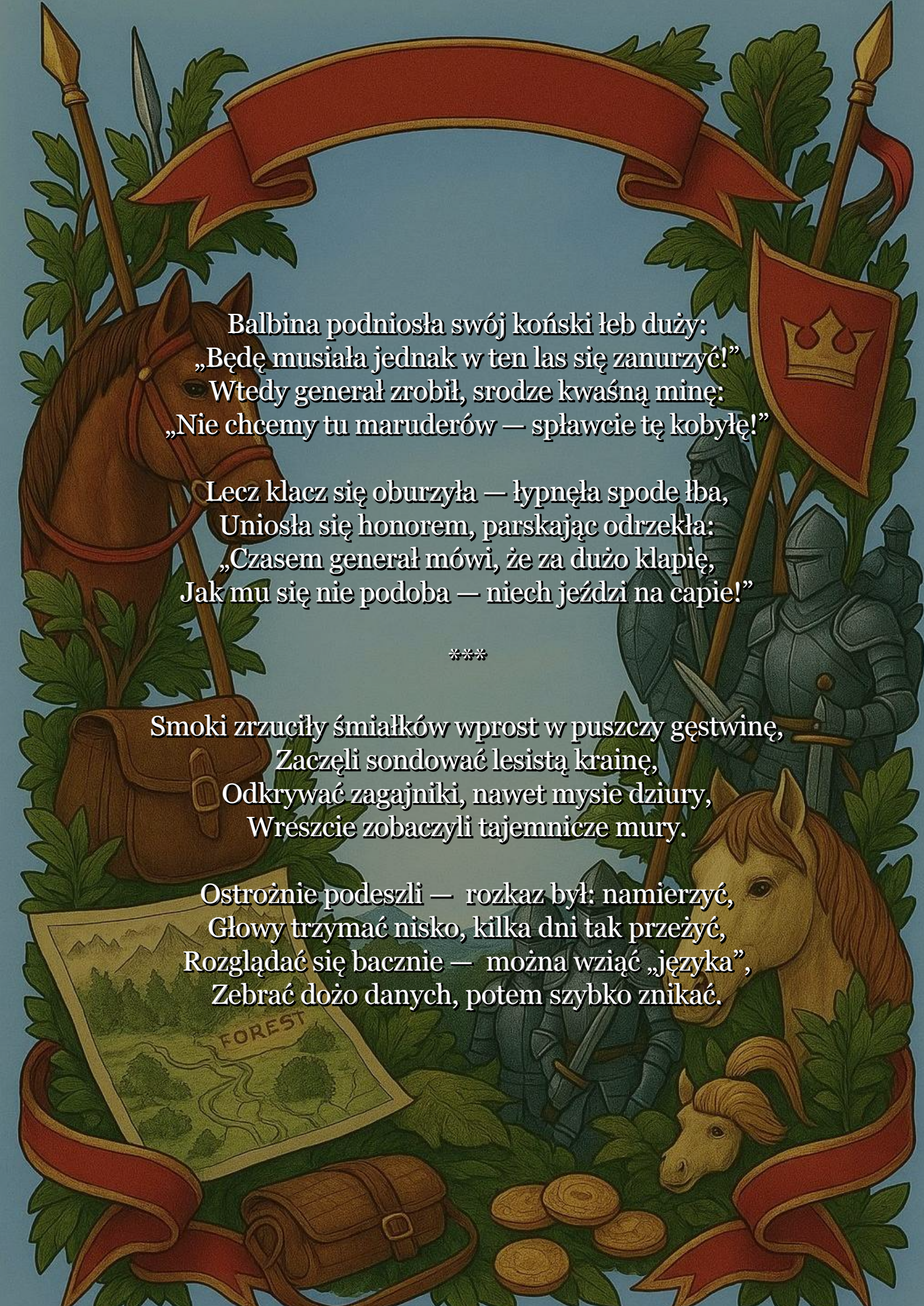

Balbina podniosła swój koński łeb duży:
„Będę musiała jednak w ten las się zanurzyć!”
Wtedy generał zrobił, srodze kwaśną minę:
„Nie chcemy tu maruderów — spławcie tę kobyłę!”

Lecz klacz się oburzyła — łypnęła spode łba,
Uniosła się honorem, parskając odrzekła:
„Czasem generał mówi, że za dużo klapię,
Jak mu się nie podoba — niech jeździ na capie!”

***

Smoki zrzuciły śmiałków wprost w puszczy gęstwinę,
Zaczęli sondować lesistą krainę,
Odkrywać zagajniki, nawet mysie dziury,
Wreszcie zobaczyli tajemnicze mury.

Ostrożnie podeszli — rozkaz był: namierzyć,
Głowy trzymać nisko, kilka dni tak przeżyć,
Rozglądać się bacznie — można wziąć „języka”,
Zebrać dożo danych, potem szybko znikać.

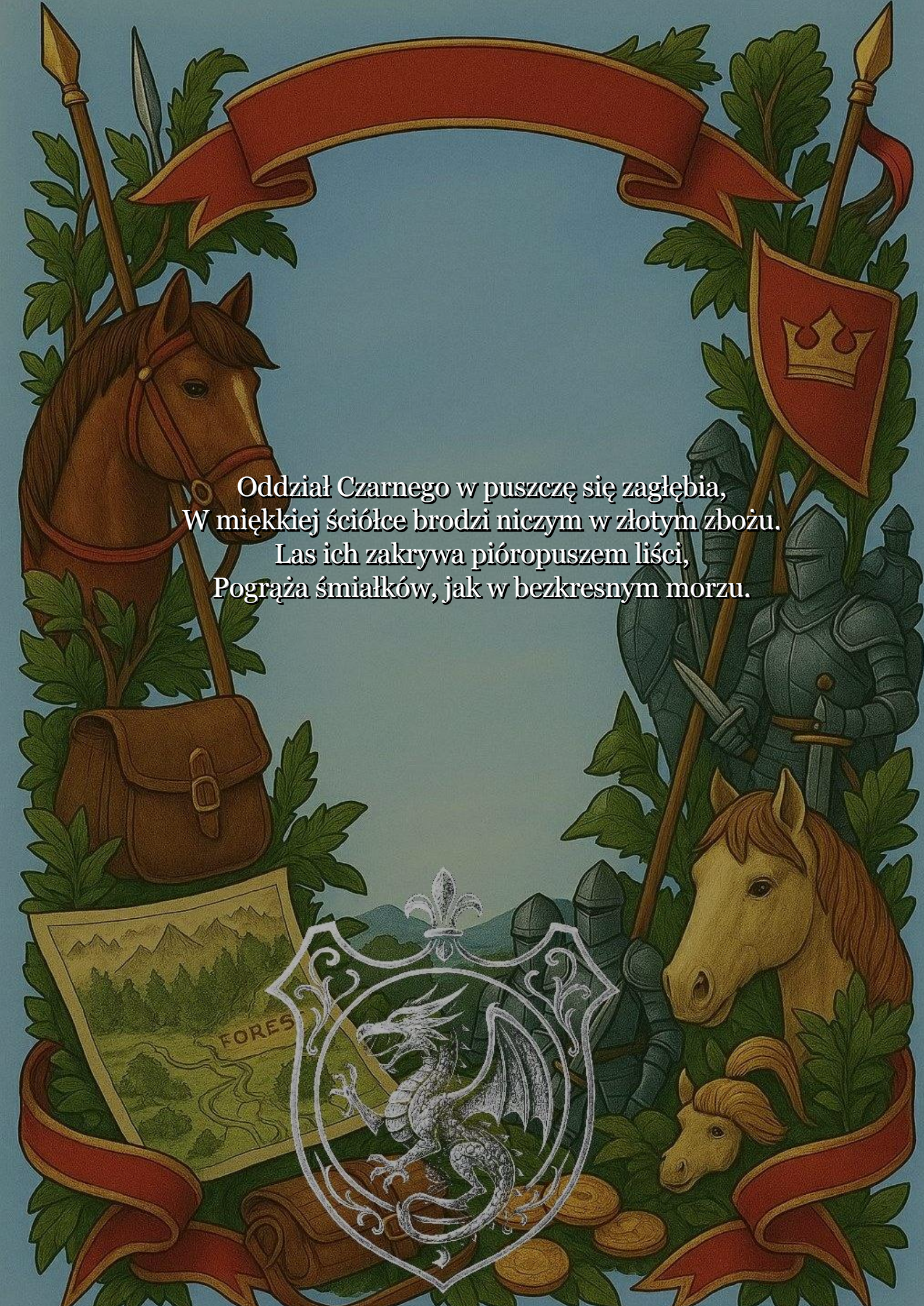
Oddział Czarnego w puszczę się zagłębia,
W miękkiej ściółce brodzi niczym w złotym zbożu.
Las ich zakrywa pióropuszem liści,
Pogrąża śmiałków, jak w bezkresnym morzu.
FORES

...i nagle stało się ciemno.
Weszli w las, który był pomnikiem przyrody i urzekał monumentalnym pięknem, a niektórych przerażał. Przez wieki, które trwał niewzruszenie, powstało wiele legend, fantastycznych historii, opowieści i bajek, przekazywanych z pokolenia na pokolenie — ustnie, gdy dziadek szeptał je wnukowi przy ogniu, lub w formie pisanej, na pożółkłych kartach inkunabułów.

Oni nie wchodzili do Puszczy — oni zagłębiali się w legendę.
Balbina, świadoma miejsca, stąpała ostrożnie na końcu stawki, strzygąc uszami i rozglądając się dokoła.

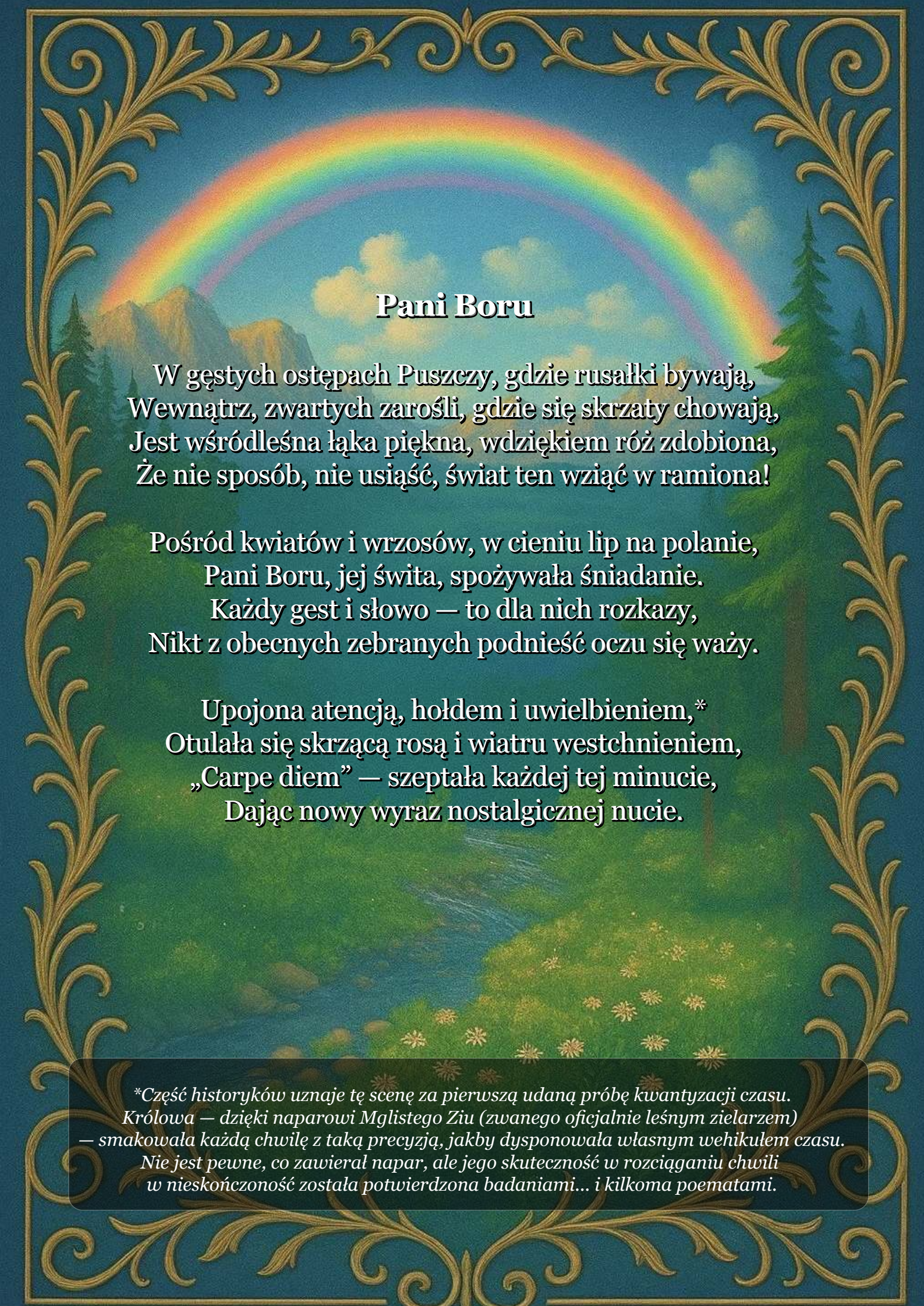

Pani Boru

W gęstych ostępach Puszczy, gdzie rusałki bywają,
Wewnątrz, zwartych zarośli, gdzie się skrzaty chowają,
Jest wśródleśna łąka piękna, wdziękiem róż zdobiona,
Że nie sposób, nie usiąść, świat ten wziąć w ramiona!

Pośród kwiatów i wrzosów, w cieniu lip na polanie,
Pani Boru, jej świta, spożywała śniadanie.
Każdy gest i słowo — to dla nich rozkazy,
Nikt z obecnych zebranych podnieść oczu się waży.

Upojona atencją, hołdem i uwielbieniem,*
Otulała się skrzącą rosą i wiatru westchnieniem,
„Carpe diem” — szeptała każdej tej minucie,
Dając nowy wyraz nostalgicznej nucie.

**Część historyków uznaje tę scenę za pierwszą udaną próbę kwantyzacji czasu. Królowa — dzięki naparowi Mglistego Ziu (zwanego oficjalnie leśnym zielarzem) — smakowała każdą chwilę z taką precyzją, jakby dysponowała własnym wehikułem czasu. Nie jest pewne, co zawierał napar, ale jego skuteczność w rozciąganiu chwili w nieskończoność została potwierdzona badaniami… i kilkoma poematami.*

Wtem w gąszczu coś zaszeleściło,
A potem słońce postać odsłoniło.
To smok-zwiadowca z wieścią przybył,
I list ze swej sakwy już po chwili dobył.

„Pani” — rzekł — „twoja Warownia całkiem opustoszała,
Jakby siła nieczysta, stamtąd ich wygnała.
Pustka jest tak wielka, że ściany z ciszą gadają,
Jeszcze kuchnia dymi… polana dogasają.”*

„Widzę” — rzekła Królowa — „że wokół się ktoś kręci.
Ten raport jest ścisły, pełen drobiazgowych treści.
Potrzeba Nam wrócić, włości przypilnować —
Bo chyba wiem już, kto tam chce się schować!”

Dzikie Smoki miały swe sposoby,
Kręte ścieżyny, parowy i tajemne schody,
Czasem jakiś most wiszący, zapomniane kładki —
To darmowe atrakcje, podróży dodatki.

**Po zniknięciu Królowej, Baran — przeczuwając kłopoty większe niż jego ego — salwował się ucieczką. Jako porywacz, który nie dopilnował „ofiary”, był na celowniku wszystkich stron konfliktu. Uciekał, podobno w kierunku gór, choć świadkowie twierdzili, że zgubił się już na własnym podwórzu. Niestety (a może właśnie „na szczęście”) — został w końcu złapany, ale o tym później…*

Królowa, zaś podziwiała kunszt ich i odwagę,
Co w terenie tak ciężkim dawało przewagę.
Byli zwinni i szybcy, unikali przeszkód,
Pragmatyczni, skuteczni — nie szukali przygód.

Kiedy dotarli na miejsce, a dzień się już chylił,
Obeszli Warownię od tyłu — zwiadowca się nie mylił.
„Pani! Mamy ludzi na zewnątrz, co myślą, że się ukryli.
Zaprosisz ich do środka? — Chcesz byśmy ich poprosili?”*

„Nie!” — padło krótko. „Oni są z mego powodu.
Musimy chwilę poczekać — nie czujecie głodu?
Niech który tam coś upichci i poda przyzwoicie,
Trzeba jakoś osłodzić to Nasze ciężkie życie!”

Możemy tu zostać dni kilka — więc znajdźcie miejsce dla siebie,
Uwierzcie mi na słowo: tu można się poczuć, jak w niebie.
Wyjdę do tych przy murze, jak tylko się rozgościmy,
Niech oni też odpoczną — straż nocną wystawiamy.

**Dzikie Smoki, znane z cichego operowania w terenie i niepokojąco skutecznego zwiadu, wykryły desant Królestwa znacznie wcześniej, niż się spodziewano. Niepostrzeżenie zajęły Warownię, wykorzystując ukrytą bramę, którą znało tylko kilku żyjących świadków wydarzeń sprzed wieków. Zwiadowcy Rycerza i Teofila — jeszcze w drodze — mieli trafić w pułapkę… Jednak Królowa (a może już raczej Władczyni Boru?) zorientowała się w planie i, zanim doszło do „nieporozumień”, zarządziła plan dyplomatyczny: zaproszenie na herbatkę.*

„Tymczasem dajcie napój — chciałabym się orzeźwić,
Pomyśleć, jakby szerzej ten nektar bogów wypić.
A świat niech zawiruje, wyłoni rozwiązania,
Odtworzy zwój proroków, odpowie na pytania.”*

I wirowało przeznaczenie, jak kalejdoskop fortuny,
A Pani Mgieł, Wróżka Nocy, dotknęła czule struny.
Przyszłość z przeszłością złączyła — dwa węzły okazałe,
Mądrość i prawdę spajając w magii rytuale.

Gdy przyszedł czas spotkania, Królowa wchodzi w swą rolę,
Ręce splecione za głową, nogi oparte na stole.
Czarny wraz z Teofilem, lekko skonfundowani,
„Pozwól, że wyjaśnimy naszą obecność – Pani.”

„Kazaliście Nam czekać na siebie” — podniosła rękę władczo —
„Nie dacie mi zacząć śniadania? Zostawiacie mnie na czczo?
Oczekiwałam was wcześniej, siedzę tu trzy tygodnie,
Czy ktoś zadał pytanie, czy jest mi w Warowni wygodnie?”

**Władczyni Boru nie była w ciemię bita. Już po pierwszym spotkaniu z naparem Mglistego Ziu zorientowała się, że nie chodzi tylko o „orzeźwienie” — herbatka miała właściwości, które pozwalały dowolnie manipulować wektorem czasu. W praktyce nie tylko rozciągać go, ale wręcz wyginać strzałkę czasu — była jak łyżka w rękach kuglarza.*
Problem? W stanie „pełnego upojenia” można się zachwycić… wszystkim.
Dlatego władczyni wykoncypowała, że warto byłoby podać ją Czarnemu …
To jednak spowoduje niezłe zamieszanie…

„Sama zadbałam o siebie, porządki ustaliłam,
Pozbyłam się intruzów i groźby oddaliłam.
A wy tymczasem – jak dzieci – bawicie się w chowanego?
Taka postawa rycerska nie wróży nic dobrego.”

Balbina, co stała przy oknie, ze śmiechu aż się zanosi:
„Dajcie jej siodło na plecy — to bardzo morale podnosi!
Niech ktoś ją ujeździ porządnie i batem świśnie, jak trzeba,
Niech zamiast homarów, frykasów — dostanie suchego chleba!”

Oburzenie było wielkie, monarchia nie znosi krytyki,
Lecz koń parsknął tylko: „nie będą mnie uczyć etyki,
Mam prawo do opinii — to nie jest zabronione.
Przybyliśmy z odsieczą, ratować królewską żonę!”*

„Mamy sojusz zawarty — Dzikie Smoki po naszej stronie.
Czy nie jest to warte uznania? Kto stanie w mojej obronie?”
„Pani…” — koń wrócił po chwili do rzeczowego tonu —
„Staramy się zrobić wszystko dla dobra Twojego tronu.”

Niektórzy baczni obserwatorzy zauważyli lekki rumieniec na twarzy Królowej, który starała się ukryć, obracając całą sytuację w żart i sprawnie zmieniając temat. Dla tych, znających ją bliżej, oczywiste było jedno:

Balbina trafiła. Znowu. Bez zbędnych gestów — po prostu spojrzeniem i parsknięciem.

I choć oficjalnie nigdy tego nie przyznały, od tamtej pory mówiło się, że między Królową a białą klaczą istniał niewidzialny sojusz — oparty na zrozumieniu, godności… i absolutnym braku cierpliwości do męskiej dezorganizacji.

“Zgodzimy się tutaj wspólnie, jak jeden mąż przy tym stole,
Że w zamku, wioskach i stajniach — szykują się niepokoje.
Jeśli Baran i reszta będą wciąż na wolności —
Chaos i nieporządek w ziemi naszej zagości.

Ach, Futrzak — zmartwienie, którego pozbyć się należy,
To typ spod ciemnej gwiazdy, co zamęt i bałagan szerzy.
Odsuńcie go, proszę, w niebyt — zamknijcie wreszcie w więzieniu,
Niech pamięć o jego bandzie ulegnie zapomnieniu.

Warownia stała się domem — łącząc w nim ludzi i smoki,
Kto nie wierzy, niech patrzy — to znaki czasu, epoki!
Ścierały się różne nacje, poglądy, przekonania,
Każda wątpliwość, nieścisłość — musiała być rozstrzygana.

Mgnienie, zaledwie — przestroga? Gdzie chwila znaczy tak wiele,
Stawały się mostem zwodzonym, co zmienia wątpliwość w nadzieje.
Tak minął zaledwie tydzień — prób, błędów i usiłowań,
Zwieńczony ogólną zgodą, uznania różnych zachowań.

Tropem Futrzaka

Płomień snuł się ospale — leniwie,
Liżąc żywicę drewien sosnowych,
Racząc zapachem leśne ostępy,
Czyniąc z nich miejsca historii bajkowych.

Narada długo trwała — każdy głos zabierał,
Sprawy ważne od błachych należy właściwie oddzielać,
Poruszano tematy — tylko najważniejsze:
Barana złapać, osądzić — to zadanie pierwsze.

Kłopot w tym, że Futrzak to cwaniak przebiegły,
Schował się skutecznie — w drwinie całkiem biegły,
Znaleźć go i pojmać, zajmie czasu trochę,
Bowiem trzeba przeszukać, każdą górską wiochę!

„Ciekawe” — rzekła Balbina, grzywą trzepiąc raźnie,
„Sprawdzę formę w górach, widzę to wyraźnie,
Ktoś na moim grzbiecie, rozgości się słodko,
A ja — jak zwykle czuję się idiotką!”.

Teofil kręci głową, nie chcąc kłutni wzniecać:
„Trzeba mojej klaczy będzie coś obiecać.
Odkąd ustawa wyszła i stała się znana,
Nie wiem, co gorsze — Balbina czy ściganie Barana!”.

Czarny patrzył na zajście, potakując głową,
„Ja z moją Szkapą — mam ugodę nową.
Popieram to, co rzeczowe, konkret akceptuję,
Gdy zaś prawi komunały — gadkę ignoruję.”

Lecz wrzawa przygotowań, przykryła to wszystko:
Ludzie, konie, pakunki — istne kłębowisko.
Pośród tego zgiełku widać rytm i porządek,
Czas jest priorytetem — to naczelny wątek.

Nie pomogły Balbinie — rozpacz i wykręty,
Czarny, jak coś postanowi, bywa nieugięty.
Zarządzał, dyrygował, wiązał i kulbaczył,
Nie spoczął nawet chwili, aż koniec zobaczył.

Najpierw leśne ostępy — ostrożność zasadna,
Potem polana w lesie, przeprawa przez bagna,
A kiedy osiągniesz przełęcz, wówczas widzisz wioskę,
O swoje koniki okaż wtedy troskę.

Tak więc Balbina miała swoje racje,
Dla niej i kolegów — nie są to wakacje.
Wspinała się, schodziła często ścieżką wąską,
Ale, trzeba przyznać — nie jest głupią gąską.

Kilka razy potknęła się i już było blisko —
To nie jest dla koni miłe środowisko.
Pogoda czy błoto — trzeba czuć różnicę,
Tymczasem, kogo spotykali — to były kozice.

Dotarli do pierwszej siedziby, kiedy się ściemniało,
A na dodatek, jakby tego wciąż było mało,
Wioska głucha, ciemna, pustką przejmująca,
Nadziei na dobry nocleg, wcale nie dająca.

Spostrzegli dwie postaci — na głowach kaptury,
Widok zagadkowy, jakby z innej kultury.
Tępe, suche twarze — z granitu wykute,
Tchnęły czymś złowrogim, czarnym absolutem.

Teofil był gotów leżeć przy Balbinie,
Marzył o ciepłym słońcu w kwiecistej dolinie,
Oderwać się od siodła, zapaść w sen głęboki —
Tego dziś nie pojmą lenie, obijboki.

Dostali podłe miejsce — w szopie na klepisku,
Nie było mowy o dobrym, ciepłym legowisku,
Konie nie są wcale, lepiej traktowane —
Z mułami na zewnątrz wspólnie przywiązane.

Zastali ponurą atmosferę. Przybyli do „piekieł na wysokości” — miejsca, gdzie ludzie i krajobraz zdawali się podać sobie ręce w uścisku ostatecznej zagłady, pieczętując los każdego przybysza.

Jak zwykle Balbina, w sobie się zebrała,
Dosadnie, z przekąsem — znów komentowała:
„Sytuacja bez sensu, stajnia ‘pierwsza klasa’ —
A ten muł się patrzy, jakbym była z NASA!”

„Postawili mnie z nim i stoję przy słupie,
To uwłacza godności — mam ich wszystkich w… poważaniu!
Niech Teofil się zgodzi w łóżku mieć pawiana,
To byłaby scena… prawie taka sama”.

Ranek stał się wyzwaniem dla całego ciała,
Zimno, odretwienie, szyja zesztywniała,
Trzeba było się ruszyć, przywrócić morale,
O tej strasznej nocy nie myśleć już wcale.

Noc była cicha, a powietrze pachniało sianem i zmęczeniem.
W tym miejscu narodziła się przyjaźń, która przetrwała lata —
długo po tym, jak pościg stał się tylko wspomnieniem.
Lecz wtedy, przy księżycu, jeszcze nie ufali sobie ani trochę.

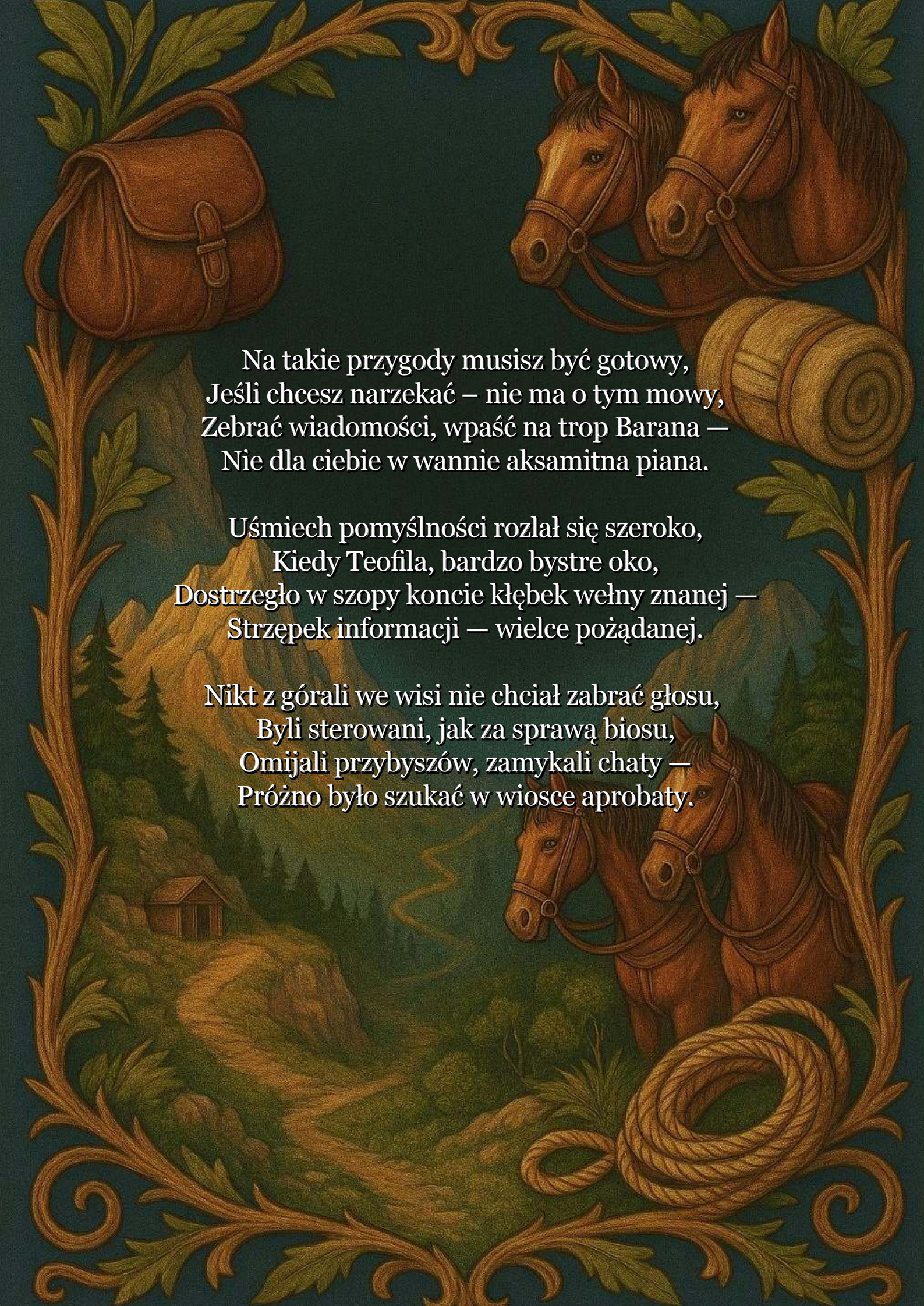

Na takie przygody musisz być gotowy,
Jeśli chcesz narzekać – nie ma o tym mowy,
Zebrać wiadomości, wpaść na trop Barana —
Nie dla ciebie w wannie aksamitna piana.

Uśmiech pomyślności rozlał się szeroko,
Kiedy Teofila, bardzo bystre oko,
Dostrzegło w szopy koncie kłębek wełny znanej —
Strzępek informacji — wielce pożądanej.

Nikt z górali we wisi nie chciał zabrać głosu,
Byli sterowani, jak za sprawą biosu,
Omijali przybyszów, zamykali chaty —
Próżno było szukać w wiosce aprobaty.

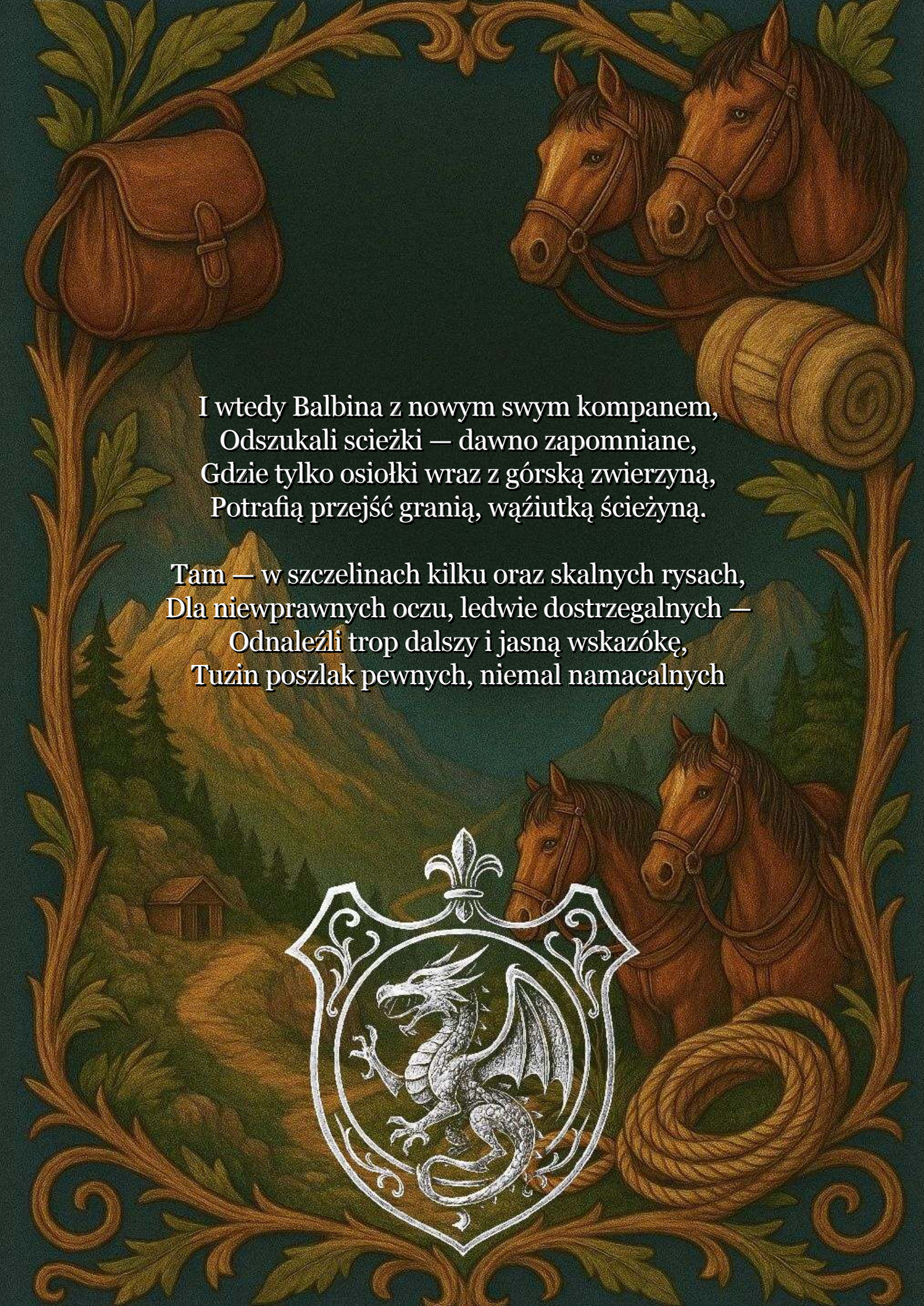

I wtedy Balbina z nowym swym kompanem,
Odszukali scieżki — dawno zapomniane,
Gdzie tylko osiołki wraz z górską zwierzyną,
Potrafią przejść granią, wąziutką ścieżyną.

Tam — w szczelinach kilku oraz skalnych rysach,
Dla niewprawnych oczu, ledwie dostrzegalnych —
Odnaleźli trop dalszy i jasną wskazókę,
Tuzin poszlak pewnych, niemal namacalnych

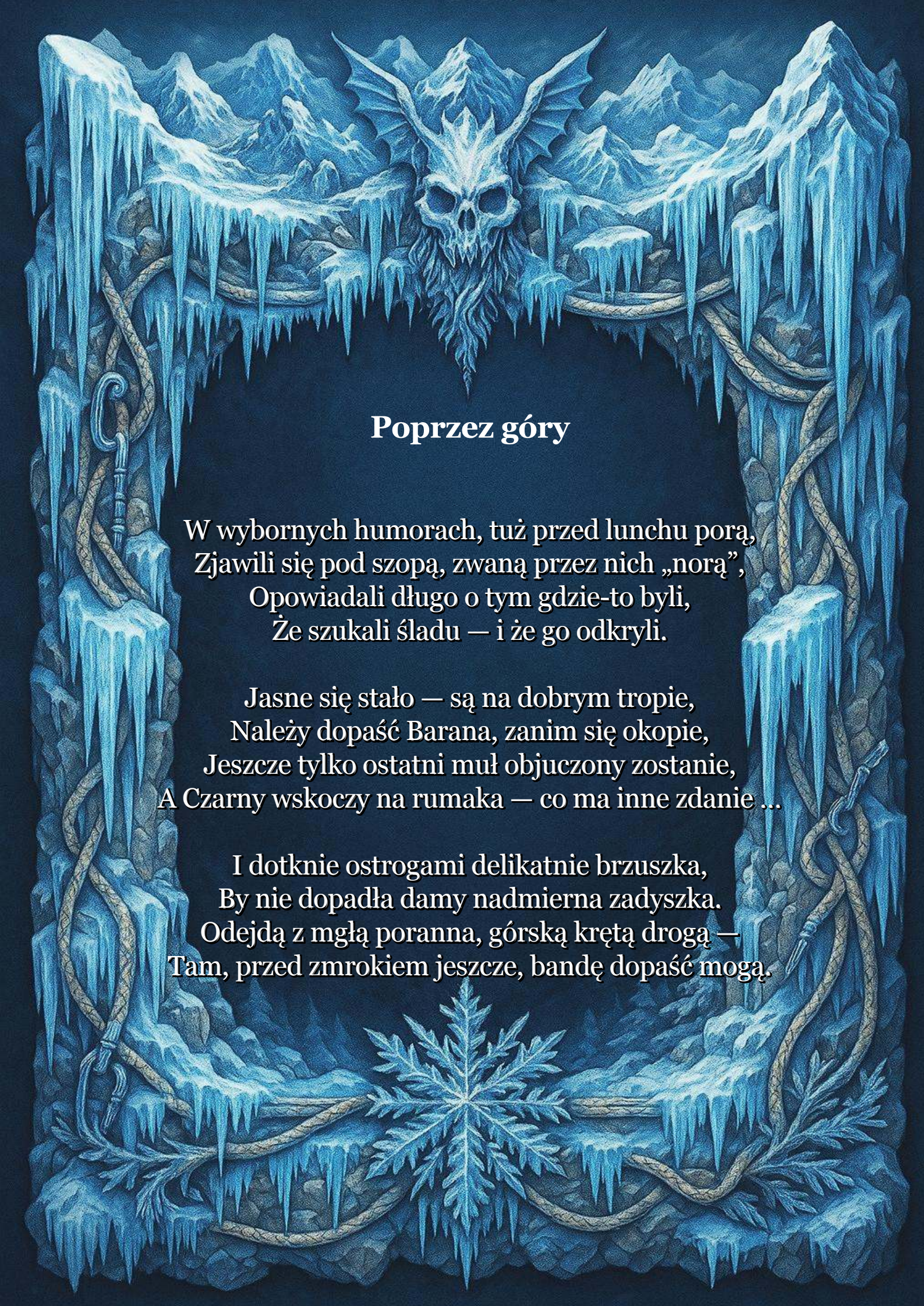

Poprzez góry

W wybornych humorach, tuż przed lunchu porą,
Zjawili się pod szopą, zwaną przez nich „norą”,
Opowiadali długo o tym gdzie-to byli,
Że szukali śladu — i że go odkryli.

Jasne się stało — są na dobrym tropie,
Należy dopaść Barana, zanim się okopie,
Jeszcze tylko ostatni muł objuczony zostanie,
A Czarny wskoczy na rumaka — co ma inne zdanie …

I dotknie ostrogami delikatnie brzuszka,
By nie dopadła damy nadmierna zadyszka.
Odejdą z mgłą poranna, górską krętą drogą —
Tam, przed zmrokiem jeszcze, bandę dopaść mogą.

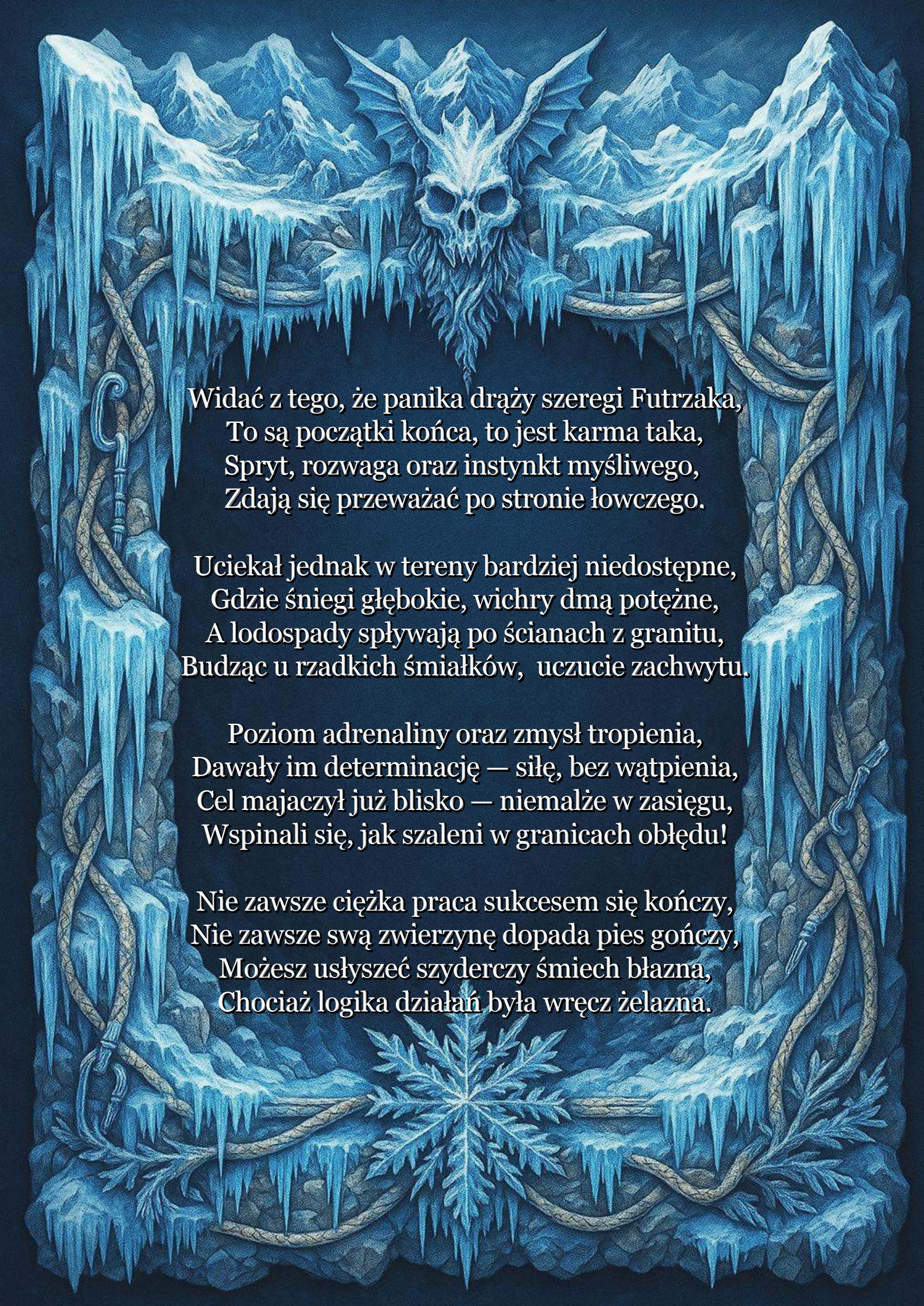

Widać z tego, że panika drąży szeregi Futrzaka,
To są początki końca, to jest karma taka,
Spryt, rozwaga oraz instynkt myśliwego,
Zdają się przeważać po stronie łowczego.

Uciekał jednak w tereny bardziej niedostępne,
Gdzie śniegi głębokie, wichry dmą potężne,
A lodospady spływają po ścianach z granitu,
Budząc u rzadkich śmiałków, uczucie zachwytu.

Poziom adrenaliny oraz zmysł tropienia,
Dawały im determinację — siłę, bez wątpienia,
Cel majaczył już blisko — niemalże w zasięgu,
Wspinali się, jak szaleni w granicach obłędu!

Nie zawsze ciężka praca sukcesem się kończy,
Nie zawsze swą zwierzynę dopada pies gończy,
Możesz usłyszeć szyderczy śmiech błazna,
Chociaż logika działań była wręcz żelazna.

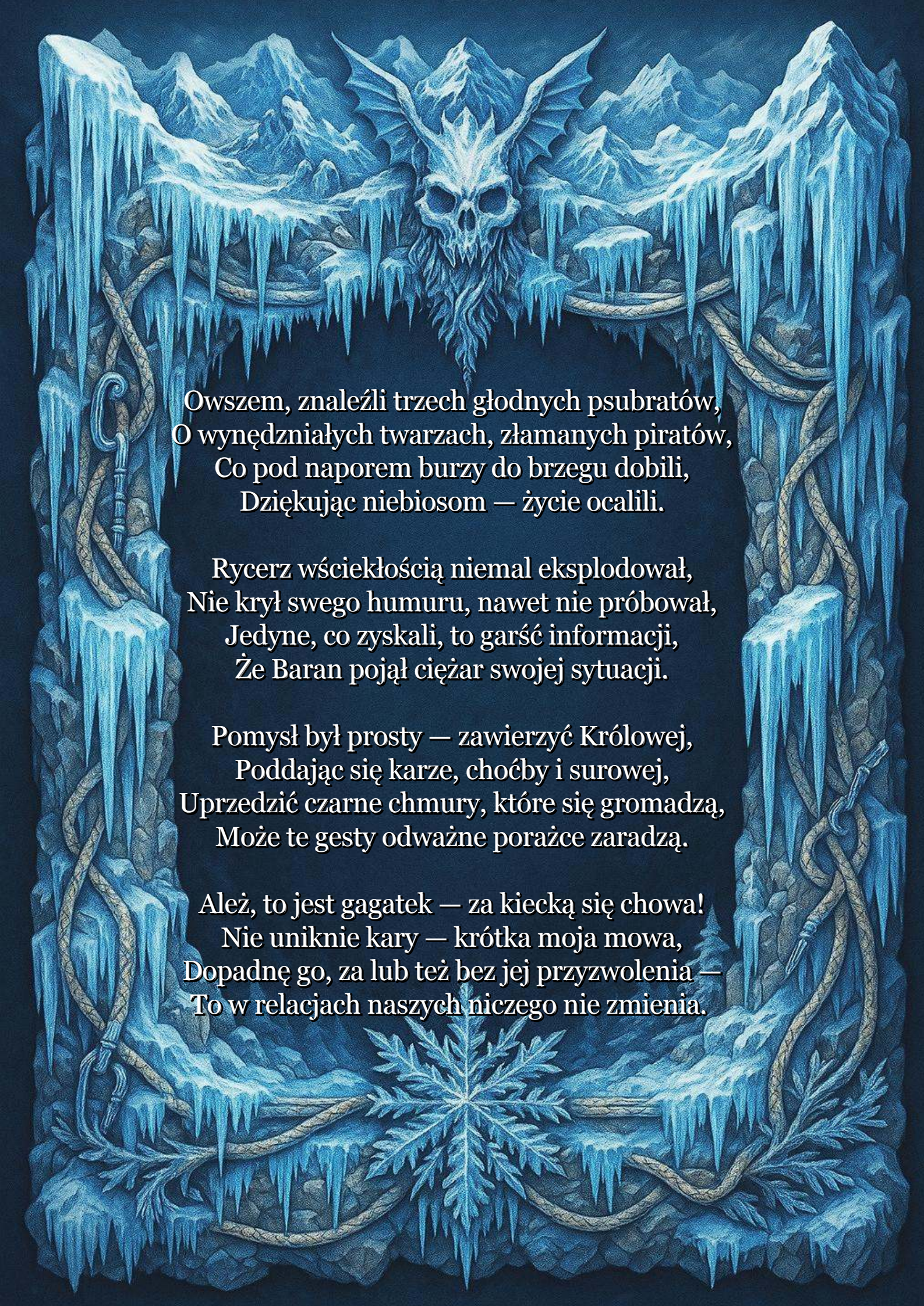

Owszem, znaleźli trzech głodnych psubratów,
O wynędzniałych twarzach, złamanych piratów,
Co pod naporem burzy do brzegu dobili,
Dziękując niebiosom — życie ocalili.

Rycerz wściekłością niemal eksplodował,
Nie krył swego humuru, nawet nie próbował,
Jedyne, co zyskali, to garść informacji,
Że Baran pojął ciężar swojej sytuacji.

Pomysł był prosty — zawierzyć Królowej,
Poddając się karze, choćby i surowej,
Uprzedzić czarne chmury, które się gromadzą,
Może te gesty odważne porażce zaradzą.

Ależ, to jest gagatek — za kiecką się chowa!
Nie uniknie kary — krótka moja mowa,
Dopadnę go, za lub też bez jej przyzwolenia —
To w relacjach naszych niczego nie zmienia.

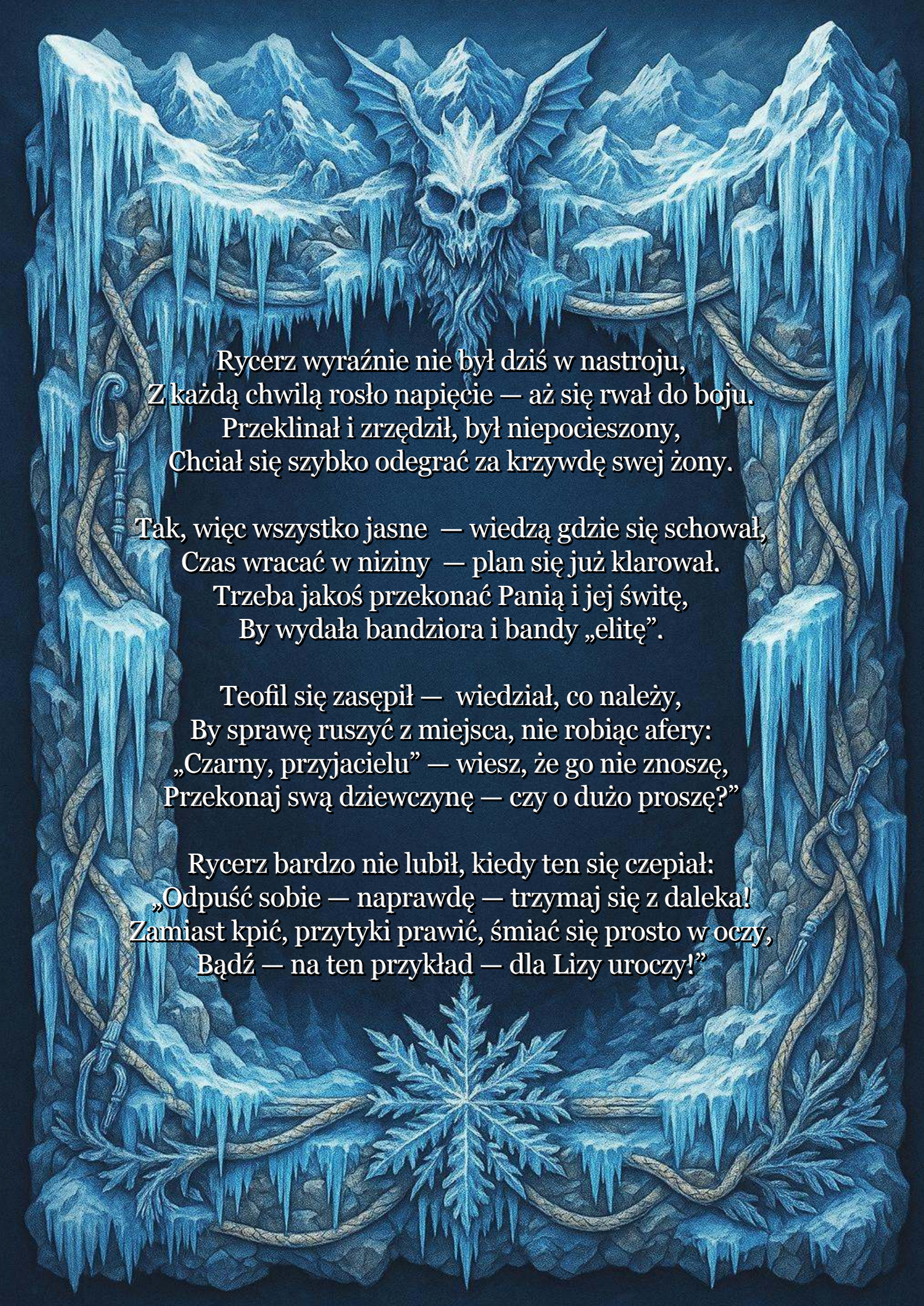

Rycerz wyraźnie nie był dziś w nastroju,
Z każdą chwilą rosło napięcie — aż się rwał do boju.
Przeklinał i zrzędził, był niepocieszony,
Chciał się szybko odegrać za krzywdę swej żony.

Tak, więc wszystko jasne — wiedzą gdzie się schował,
Czas wracać w niziny — plan się już klarował.
Trzeba jakoś przekonać Panią i jej świtę,
By wydała bandziora i bandy „elitę".

Teofil się zasępił — wiedział, co należy,
By sprawę ruszyć z miejsca, nie robiąc afery:
„Czarny, przyjacielu" — wiesz, że go nie znoszę,
Przekonaj swą dziewczynę — czy o dużo proszę?"

Rycerz bardzo nie lubił, kiedy ten się czepiał:
„Odpuść sobie — naprawdę — trzymaj się z daleka!
Zamiast kpić, przytyki prawić, śmiać się prosto w oczy,
Bądź — na ten przykład — dla Lizy uroczy!"

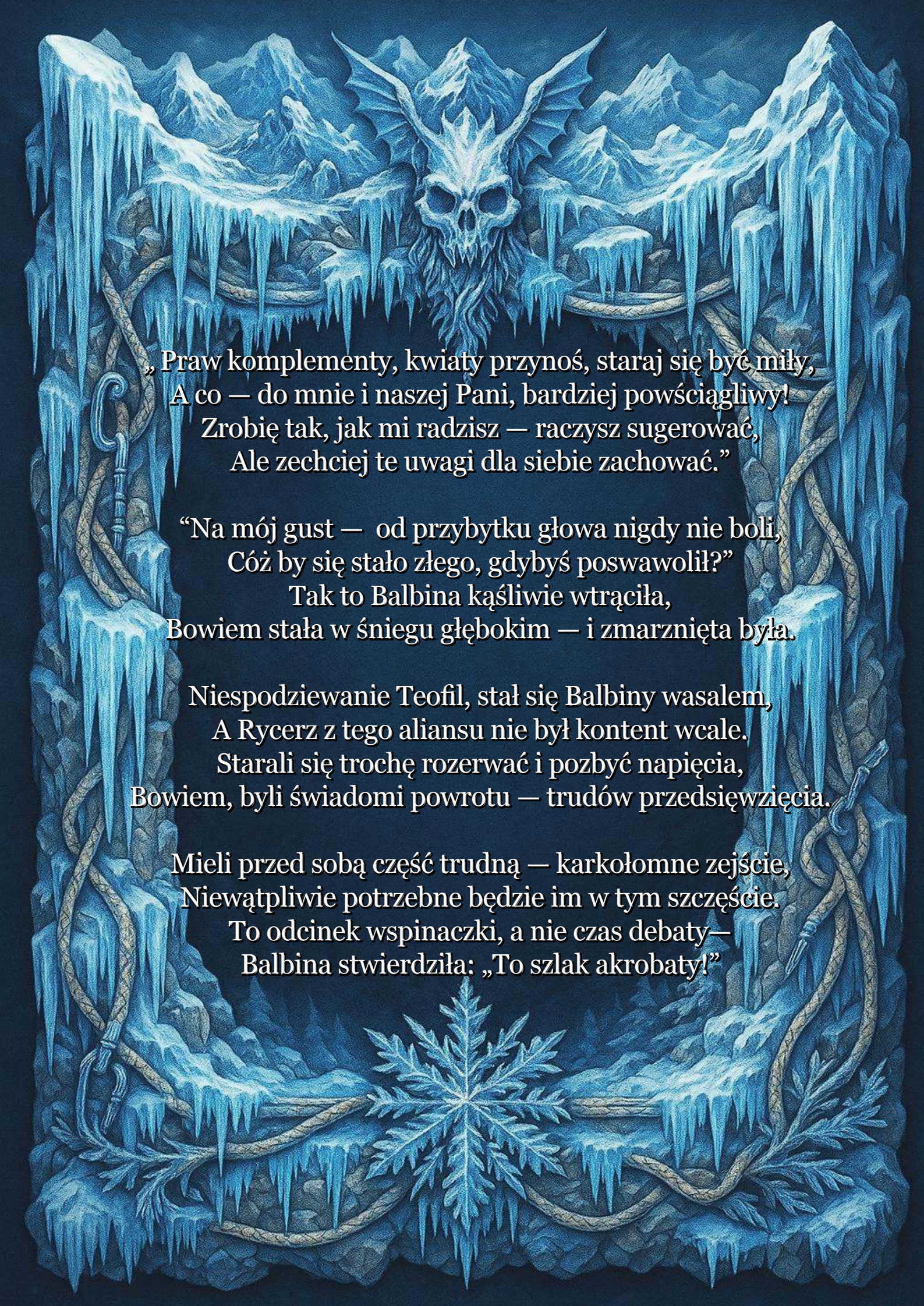

„ Praw komplementy, kwiaty przynoś, staraj się być miły,
A co — do mnie i naszej Pani, bardziej powściągliwy!
Zrobię tak, jak mi radzisz — raczysz sugerować,
Ale zechciej te uwagi dla siebie zachować.”

“Na mój gust — od przybytku głowa nigdy nie boli,
Cóż by się stało złego, gdybyś poswawolił?”
Tak to Balbina kąśliwie wtrąciła,
Bowiem stała w śniegu głębokim — i zmarznięta była.

Niespodziewanie Teofil, stał się Balbiny wasalem,
A Rycerz z tego aliansu nie był kontent wcale.
Starali się trochę rozerwać i pozbyć napięcia,
Bowiem, byli świadomi powrotu — trudów przedsięwzięcia.

Mieli przed sobą część trudną — karkołomne zejście,
Niewątpliwie potrzebne będzie im w tym szczęście.
To odcinek wspinaczki, a nie czas debaty—
Balbina stwierdziła: „To szlak akrobaty!”

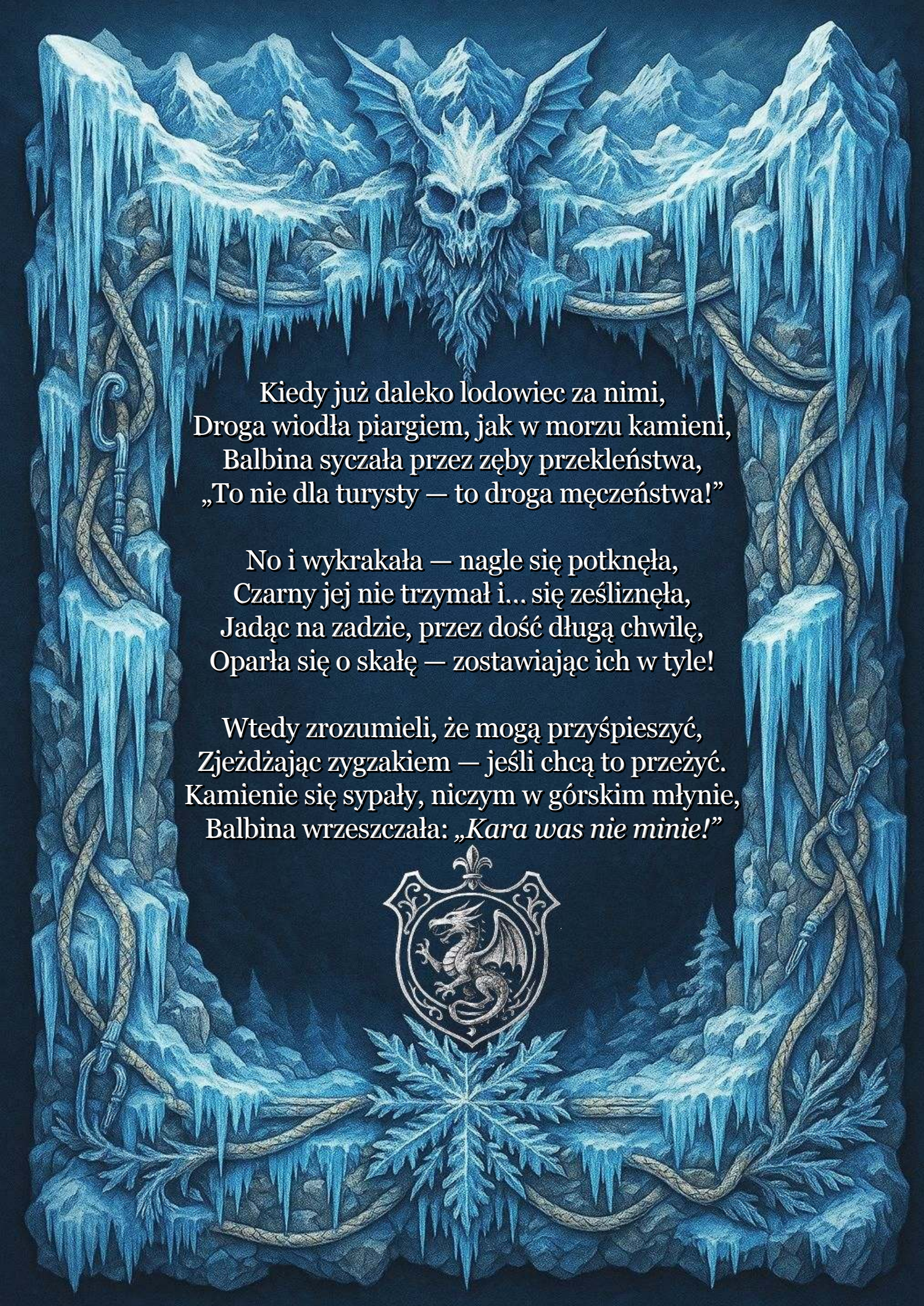

Kiedy już daleko lodowiec za nimi,
Droga wiodła piargiem, jak w morzu kamieni,
Balbina syczała przez zęby przekleństwa,
„To nie dla turysty — to droga męczeństwa!”

No i wykrakała — nagle się potknęła,
Czarny jej nie trzymał i… się ześliznęła,
Jadąc na zadzie, przez dość długą chwilę,
Oparła się o skałę — zostawiając ich w tyle!

Wtedy zrozumieli, że mogą przyśpieszyć,
Zjeżdżając zygzakiem — jeśli chcą to przeżyć.
Kamienie się sypały, niczym w górskim młynie,
Balbina wrzeszczała: *„Kara was nie minie!”*

Zjeżdżała jak błyskawica, rozsypując kamienie i przekleństwa.
W oczach miała ogień, chłód przerażenia i pokorę, której uczą góry.
Wiatr szarpał jej grzywę, lecz nie zwalniała, bo… nie mogła.
Echo niosło szum zsuwających się głazów, zniekształcając jej krzyk:
„…minie, …minie!”

Łąki kwieciste i Warownia

A po trudach wspinaczki weszli w świat magiczny,
Zobaczyli krajobraz — widok idylliczny.
Było ciepło, przyjemnie — lekki zefir pieścił trawy,
Szczaw kwieciem je malując dał im kolor rdzawy.

Świerszcze przed koncertem skrzypce nastroiły,
Motyle tańcem cichym wieczór obwieściły.
Gdybyś śnił marzenie — pewnie byś uwierzył.
Szczęśliwy jest ten, kto taki stan przeżył.

Teofil niedowierzał — czy to sen na jawie?
Balbina parskała, tarzała się w trawie.
Jeszcze przez czas jakiś stali oniemiali,
Zachwycając się tym, co właśnie ujrzeli.

Tak mógł wyglądać Raj — jeśli szukasz pociechy,
Teofil się żachnął — „idę szukać Ewy!”
Jednak nie dane im były naturą zachwyty,
Nie dla nich uniesienia — i nie dla nich mity.

„Jak, już się dobrze bawię — to mi się zabrania?!
Kto dzisiaj tu dowodzi? Dajcie tego drania!”
Zgadnijcie, moi drodzy, kto się znów odezwał,
Kto dobry nastrój — i zadumę przerwał?

Odpoczęli po trudach — gniew wrzał i pulsował,
Czas pogonić Barana, nieważne gdzie się schował.
Obudził w nich bestie — przejdą las, choć gęsty,
Królowa go nie osłoni — muszą być zwycięzcy!

Szkoda było opuszczać miejsce tak urocze,
Pożegnać łąki zielone i to skalne zbocze,
Odwrócić się plecami do esencji piękna,
Co im zapadło w pamięć — wizja w duszy zaklęta...

Już się zagłębili w gąszcze nieprzebyte,
Odrzucili protesty Balbiny — tęsknoty skryte,
Każdy niósł swój bagaż — nie tylko na grzbiecie,
Serce to nie sługa — na pewno to wiecie!

Od kolców, igliwia odwykli już trochę,
Kroczyli więc ostrożnie, pochylali głowy,
Rycerz dopieszczał mowę w myślach ją wygładzał,
Nowymi epitetami, frazy swe okraszał.

„Wiesz, co jest najgorsze?” — szepnął do Balbiny –
Szlaki przemierzamy — dwoimy, troimy,
Zgadnij, kto za te wysiłki zgarnie plon obfity?
Nie mylisz się — Królowa. Jej będą profity,”

„Wkurza mnie ta baba — choć ją lubię szczerze,
Zawsze nas wyprzedza, zawsze wszystko bierze,
Daje się podejść niby — by skontrować później,
Lepiej pysk swój zamknę, by jej nie nabluźnić”.

Przeprawa przez Wielką Puszczę to nie są przelewki,
Przejście kilku mil w gąszczu, to wysiłek wielki,
Nie było pośród nich sprzeczek, napięć ani złości,
A w czasie spoczynku — mówili o przyszłości.

Jeśli kto marudził, ociągał się, niedomagał,
Zawsze na wsparcie drużyny liczyć mógł i je dostawał.
„Bracie!” — mówiono — „jeszcze tylko dni parę,
Potem odpoczniesz — wiemy, że dasz radę”.

A kiedy zobaczyli Warownię, nagle otrzeźwieli,
Jak mnich, co dzwon usłyszał rano przy niedzieli,
Myśleli o śnie, odpoczynku i normalnej strawie,
Zapomnieć o igliwiu, robactwie... nocowaniu w trawie!

Choć majestat natury — jak obraz z legendy —
Otaczał ich — byli u kresu — zaciskali zęby.
Każdy widok, wrażenie, mglisty wieczór czy chmurka,
Uszczuplała energii zasoby — jak w oponie dziurka.

***

Teofil wstał ociężale, podniósł się, usiadł na łóżku,
Szarpnął Czarnego za rękaw — „Obudź się braciszku!
Nie spij — no wstawaj, to już druga doba,
Czas nie jest z gumy, gamoniu — dopadła cię choroba?!”

Ten się oganiał od niego, jak natrętnej muchy,
Przyłożył głowę ponownie, przygarnął poduchy,
Jednak, kiedy przypomniał sobie, po co tu przyjechał,
Stanął na równe nogi i nagle otrzeźwiał!

W salonie Dzikie Smoki śniadanie podały,
Władczyni, już siedziała, potrawy, też stały.
„Panowie” — rzekła, gestem zapraszając,
„Znów czekam na was!” — wymówiek nie słuchając,

Wskazała na miejsca przy stole, dla nich przeznaczone,
Rozdano owoce lasu, trochę dziczyzny — ziemniaki pieczone,
Herbatka też stała, prosto od Mglistego*,
Tym razem wersja „soft” — bez efektu czasoprzestrzennego.

**Mglisty Ziu wciąż udoskonalał swoje napary. Wersja „soft” miała smak niemal identyczny, lecz pozbawiona była ubocznych skutków: utraty orientacji w czasie, spontanicznego śmiechu i chęci prowadzenia głębokich, filozoficznych rozmów z meblami.*

Zaczęła się dyskusja o skórę Futrzaka,
Czarny chciał go żywcem, lecz konkluzja jest taka,
Że Królowa skorzysta z praw łaski, dobroci,
Nie wyda go za nic, zaś oddział ozłoci*.

Widać było, jak uchodzi powietrze z Barana,
Stał teraz rozluźniony — jego pułapka była tak udana,
Że nie spodziewał się zwrotu akcji,
Który miał nastąpić w czasie negocjacji.

Już po drugim kubku Władczyni dodała z uśmiechem:
„Możecie mnie obdarować Baranim korzuchem!”,
„Ależ to jest cudowny napój, po prostu — nie wierzę!”
Teofil wyrwał filiżankę Czarnemu, trącając talerze.

Baran się wycofał, stanął przy otwartym oknie,
Chyżo dał susa na zewnątrz, kiedy stał samotnie.
Miał pecha niewątpliwie — tam czekała Balbina,
Zaprawdę, plan był dobry — to nie jego wina!

**Niektórzy twierdzą, że ozłocenie oddziału to tradycyjna forma wdzięczności. Inni — że sposób, by nikt nie zadawał zbędnych pytań.*

Wywindowała go na powrót, przez okno do wnętrza,
Dając zebranym powód do śmiechu, przyczynek do szczęścia,
Futrzak był zbity z tropu, prawie oniemiały,
Jego wszystkie knowania — na nic się dziś zdały.

Królowej się nie podobała potrawka z Barana,
Więc inna forma kary będzie mu zadana.
Oto padł pomysł — pod rozwagę grona —
Czy nie lepiej, by było sweterek wykonać...

Stanęło na tym, że się go do skóry ostrzyże,
Sprawdzi jakość wełny — całość w kłębki zbierze,
Potem wydziergają, sweterek dla Niny,
Robiąc, śliczny prezent na jej urodziny.

Sierściuch coś przebąkiwał o prawie do życia,
Że się go traktuje jak przedmiot spożycia,
Lecz zamilkł wnet, gdy Czarny dodał cynicznie,
Że wolałby Futrzaka widzieć na więziennym wikcie,

Ponadto, strzyc go mieli jego towarzysze,
Aby pognębić ego i zadać cios pysze,
I tak Baran będzie cyklicznie golony —
Co najmniej przez trzy następujące po sobie sezony.

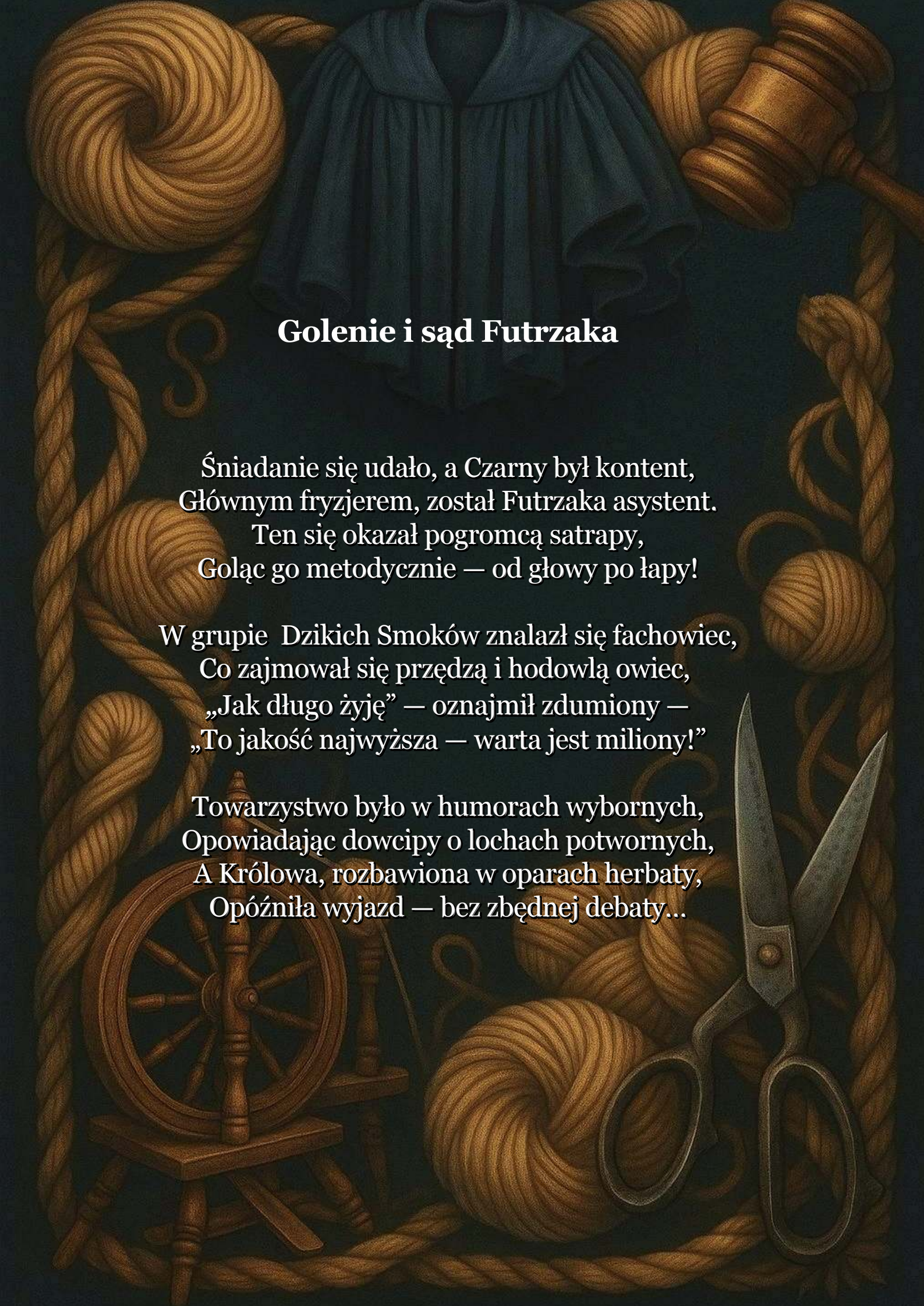

Golenie i sąd Futrzaka

Śniadanie się udało, a Czarny był kontent,
Głównym fryzjerem, został Futrzaka asystent.
Ten się okazał pogromcą satrapy,
Goląc go metodycznie — od głowy po łapy!

W grupie Dzikich Smoków znalazł się fachowiec,
Co zajmował się przędzą i hodowlą owiec,
„Jak długo żyję” — oznajmił zdumiony —
„To jakość najwyższa — warta jest miliony!”

Towarzystwo było w humorach wybornych,
Opowiadając dowcipy o lochach potwornych,
A Królowa, rozbawiona w oparach herbaty,
Opóźniła wyjazd — bez zbędnej debaty…

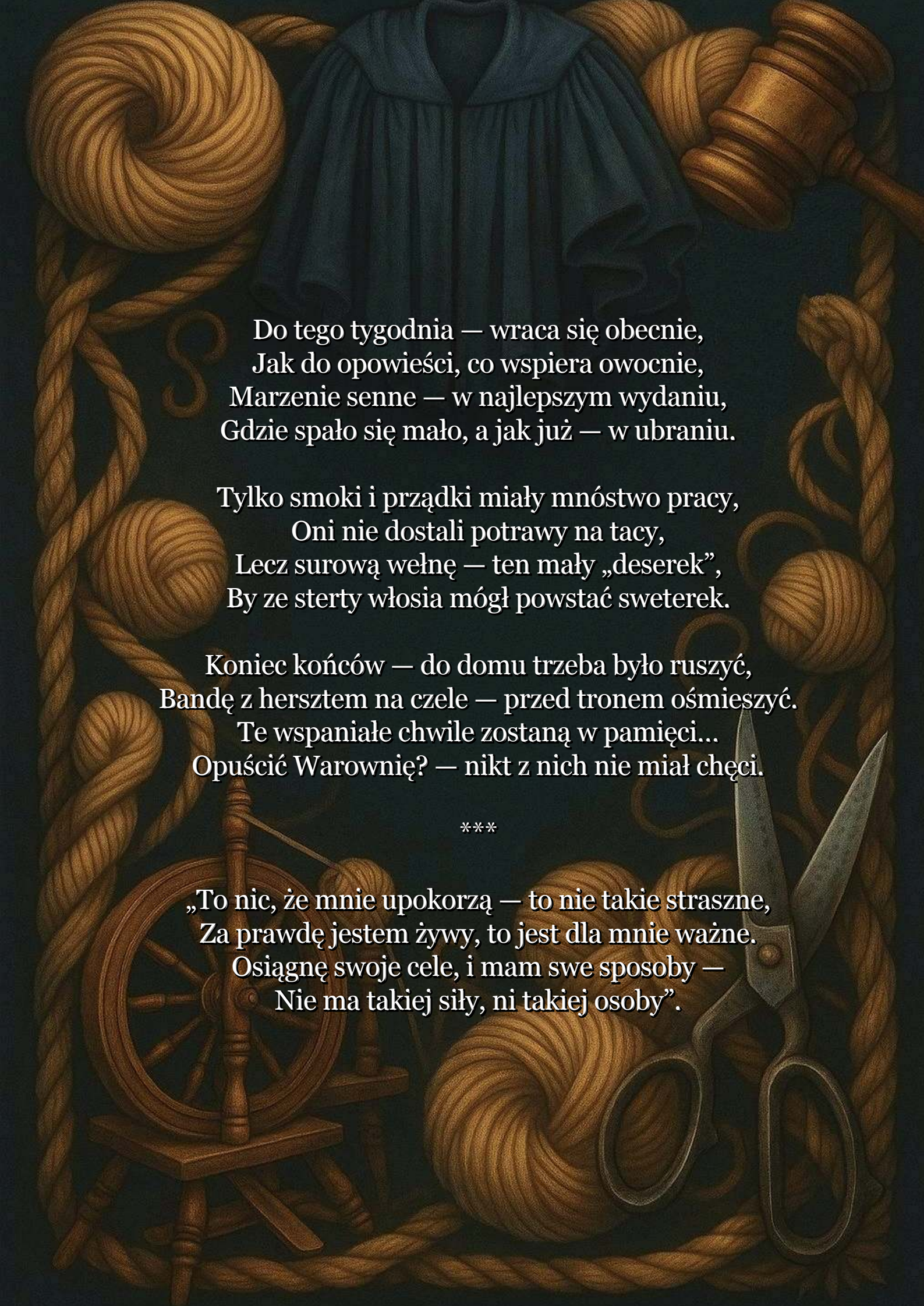

Do tego tygodnia — wraca się obecnie,
Jak do opowieści, co wspiera owocnie,
Marzenie senne — w najlepszym wydaniu,
Gdzie spało się mało, a jak już — w ubraniu.

Tylko smoki i prządki miały mnóstwo pracy,
Oni nie dostali potrawy na tacy,
Lecz surową wełnę — ten mały „deserek”,
By ze sterty włosia mógł powstać sweterek.

Koniec końców — do domu trzeba było ruszyć,
Bandę z hersztem na czele — przed tronem ośmieszyć.
Te wspaniałe chwile zostaną w pamięci…
Opuścić Warownię? — nikt z nich nie miał chęci.

***

„To nic, że mnie upokorzą — to nie takie straszne,
Za prawdę jestem żywy, to jest dla mnie ważne.
Osiągnę swoje cele, i mam swe sposoby —
Nie ma takiej siły, ni takiej osoby”.

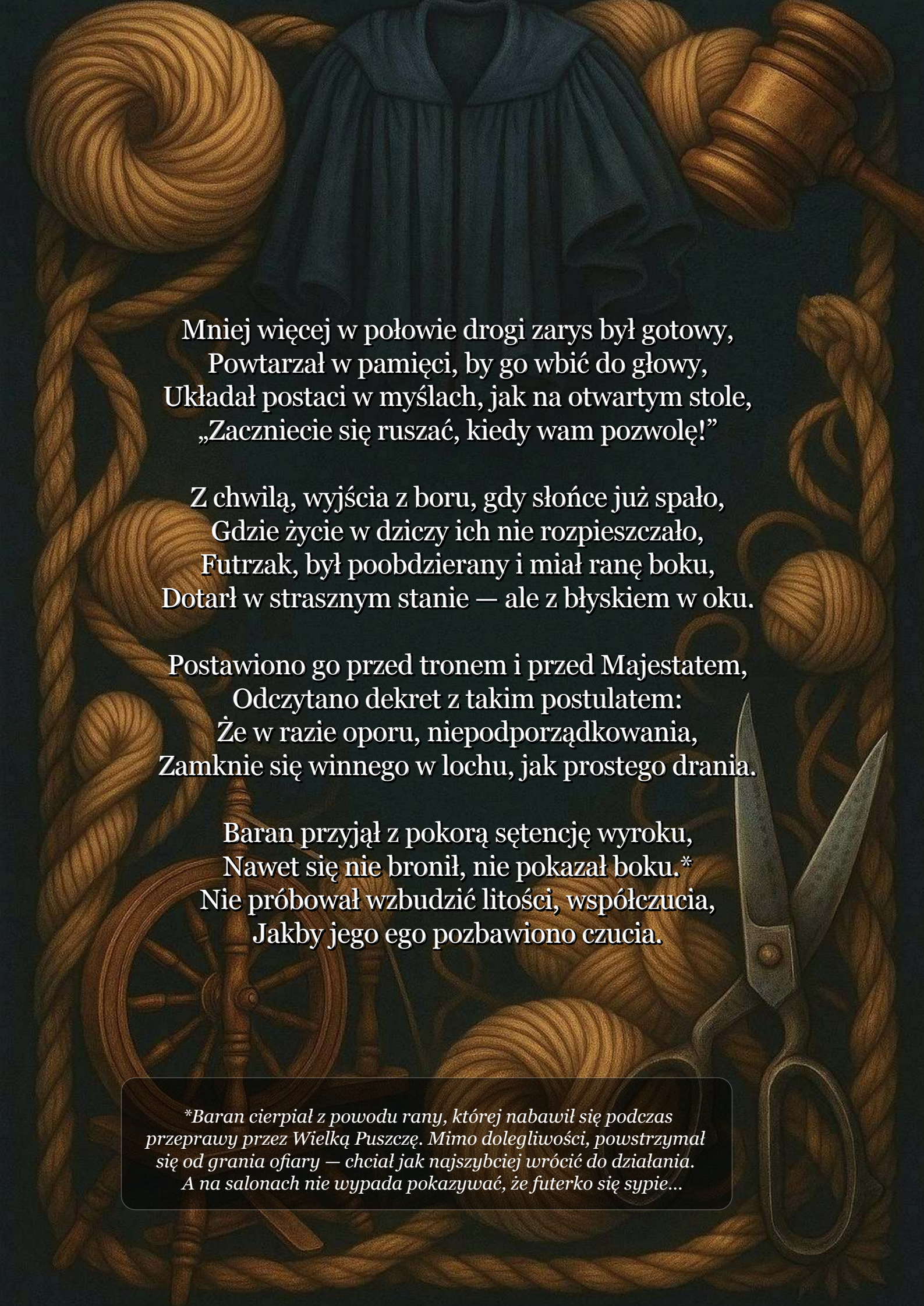

Mniej więcej w połowie drogi zarys był gotowy,
Powtarzał w pamięci, by go wbić do głowy,
Układał postaci w myślach, jak na otwartym stole,
„Zaczniecie się ruszać, kiedy wam pozwolę!”

Z chwilą, wyjścia z boru, gdy słońce już spało,
Gdzie życie w dziczy ich nie rozpieszczało,
Futrzak, był poobdzierany i miał ranę boku,
Dotarł w strasznym stanie — ale z błyskiem w oku.

Postawiono go przed tronem i przed Majestatem,
Odczytano dekret z takim postulatem:
Że w razie oporu, niepodporządkowania,
Zamknie się winnego w lochu, jak prostego drania.

Baran przyjął z pokorą sętencję wyroku,
Nawet się nie bronił, nie pokazał boku.*
Nie próbował wzbudzić litości, współczucia,
Jakby jego ego pozbawiono czucia.

**Baran cierpiał z powodu rany, której nabawił się podczas przeprawy przez Wielką Puszczę. Mimo dolegliwości, powstrzymał się od grania ofiary — chciał jak najszybciej wrócić do działania. A na salonach nie wypada pokazywać, że futerko się sypie…*

Dla Teofila cała sytuacja była wielce dziwna.
Coś mu się nie zgadzało — czuł się jak dziewka naiwna,
Spokój Futrzaka wskazówką był niewątpliwą,
Jak modre niebo — przed burzą zdradliwą.

Sierściuch się zaszył i zniknął ze sceny,
Gdzie był i co robił — może się dowiemy,
Jedno jest pewne — wrócił na golenie,
Z wielką grupą „wyznawców", chętnych na strzyżenie.*

**Nie odnotowano, czy wszyscy „wyznawcy" przeżyli pierwsze golenie. Kroniki wspominają tylko, że w następnych latach modny był styl „na baranka".*

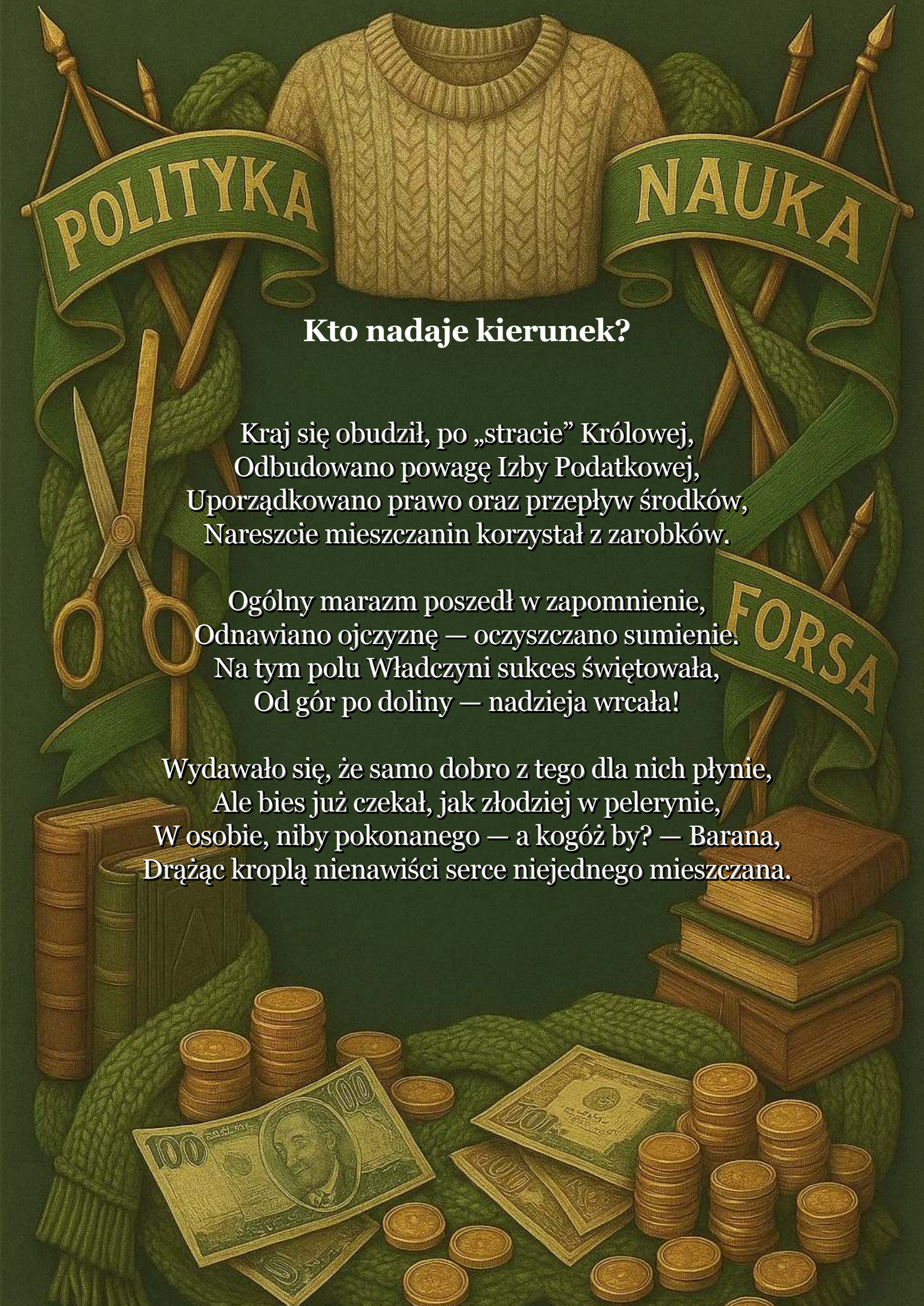

Kto nadaje kierunek?

Kraj się obudził, po „stracie” Królowej,
Odbudowano powagę Izby Podatkowej,
Uporządkowano prawo oraz przepływ środków,
Nareszcie mieszczanin korzystał z zarobków.

Ogólny marazm poszedł w zapomnienie,
Odnawiano ojczyznę — oczyszczano sumienie.
Na tym polu Władczyni sukces świętowała,
Od gór po doliny — nadzieja wrcała!

Wydawało się, że samo dobro z tego dla nich płynie,
Ale bies już czekał, jak złodziej w pelerynie,
W osobie, niby pokonanego — a kogóż by? — Barana,
Drążąc kroplą nienawiści serce niejednego mieszczana.

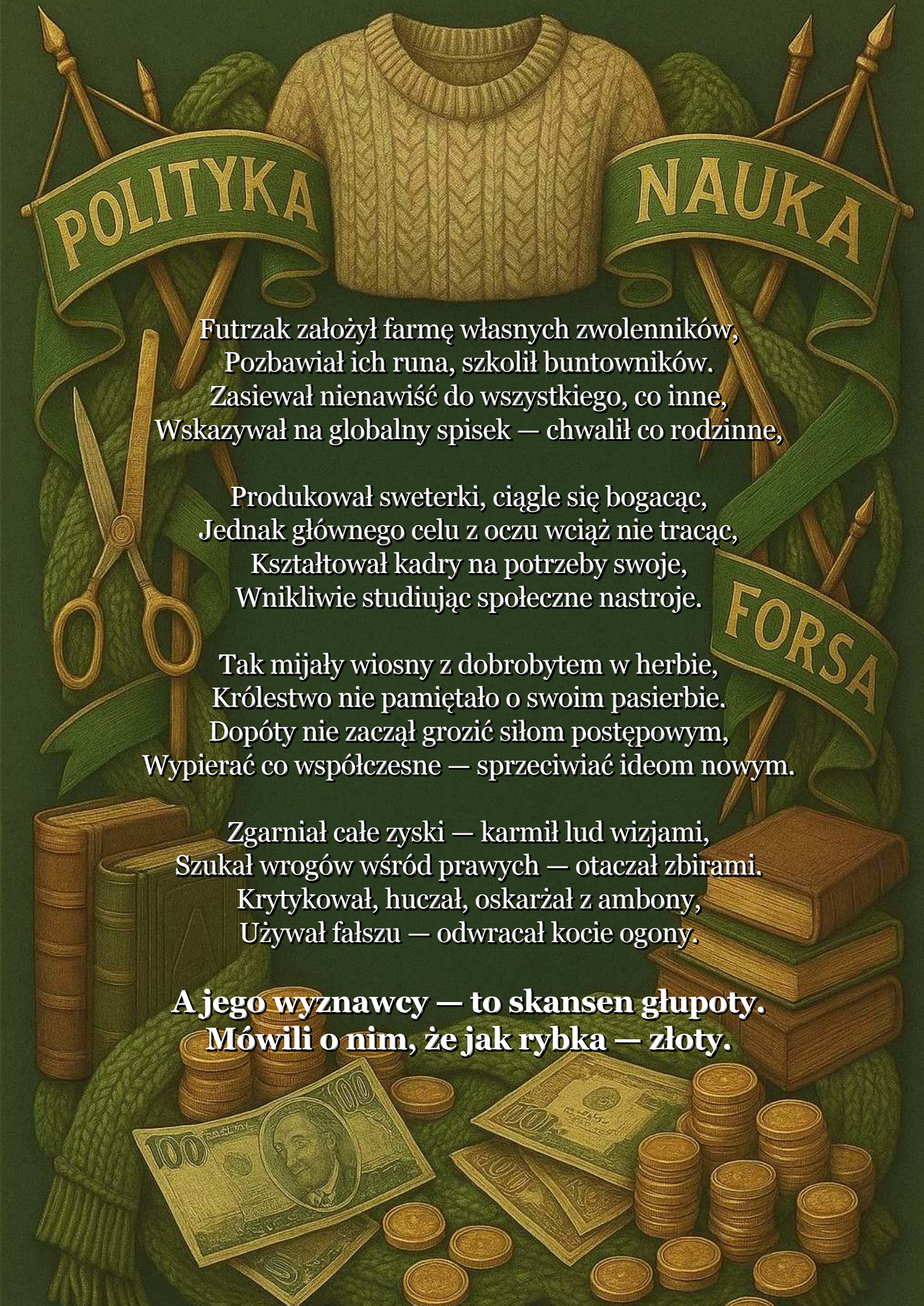

Futrzak założył farmę własnych zwolenników,
Pozbawiał ich runa, szkolił buntowników.
Zasiewał nienawiść do wszystkiego, co inne,
Wskazywał na globalny spisek — chwalił co rodzinne,

Produkował sweterki, ciągle się bogacąc,
Jednak głównego celu z oczu wciąż nie tracąc,
Kształtował kadry na potrzeby swoje,
Wnikliwie studiując społeczne nastroje.

Tak mijały wiosny z dobrobytem w herbie,
Królestwo nie pamiętało o swoim pasierbie.
Dopóty nie zaczął grozić siłom postępowym,
Wypierać co współczesne — sprzeciwiać ideom nowym.

Zgarniał całe zyski — karmił lud wizjami,
Szukał wrogów wśród prawych — otaczał zbirami.
Krytykował, huczał, oskarżał z ambony,
Używał fałszu — odwracał kocie ogony.

A jego wyznawcy — to skansen głupoty.
Mówili o nim, że jak rybka — złoty.

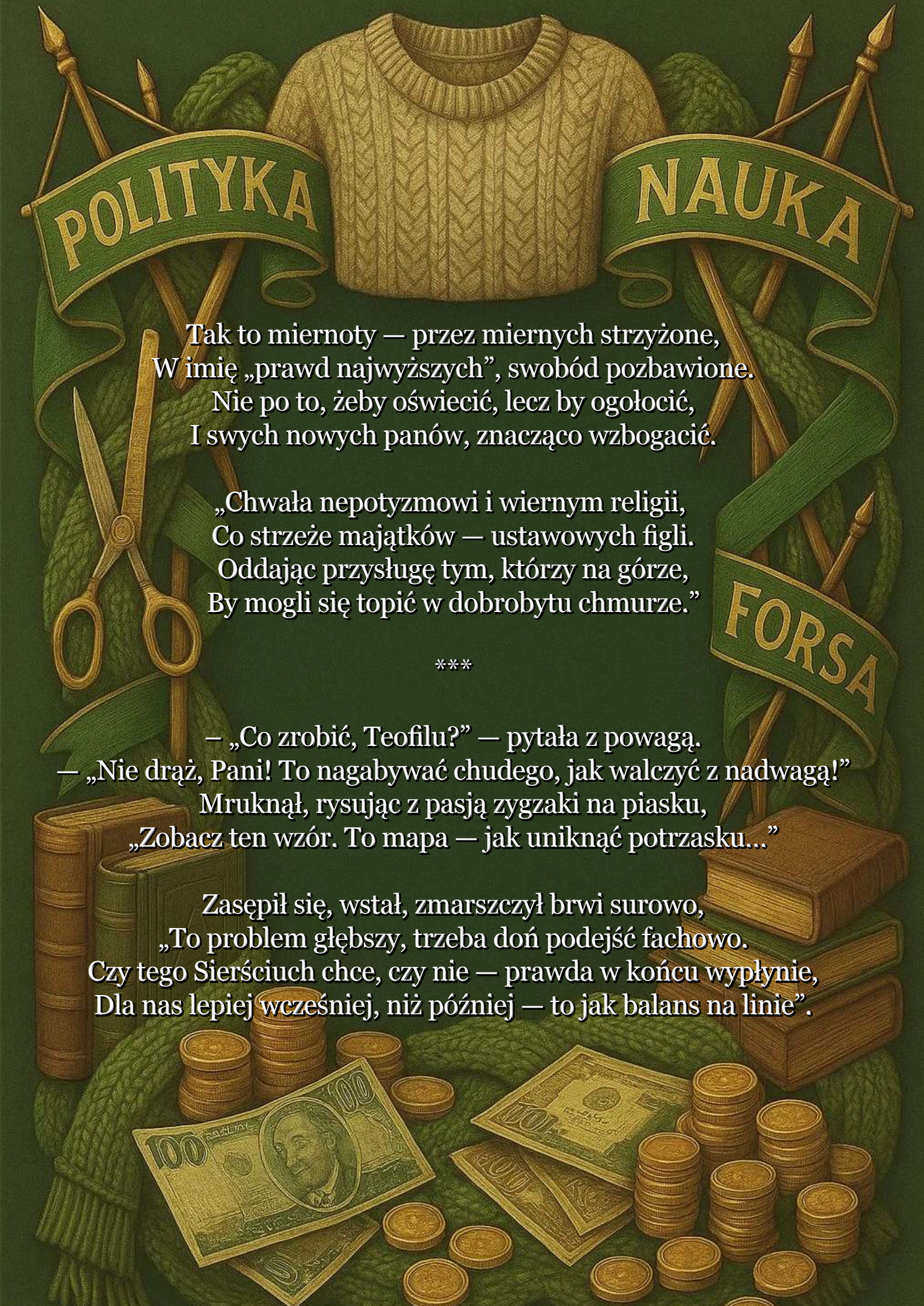

Tak to miernoty — przez miernych strzyżone,
W imię „prawd najwyższych”, swobód pozbawione.
Nie po to, żeby oświecić, lecz by ogołocić,
I swych nowych panów, znacząco wzbogacić.

„Chwała nepotyzmowi i wiernym religii,
Co strzeże majątków — ustawowych figli.
Oddając przysługę tym, którzy na górze,
By mogli się topić w dobrobytu chmurze.”

***

– „Co zrobić, Teofilu?” — pytała z powagą.
— „Nie drąż, Pani! To nagabywać chudego, jak walczyć z nadwagą!”
Mruknął, rysując z pasją zygzaki na piasku,
„Zobacz ten wzór. To mapa — jak uniknąć potrzasku…”

Zasępił się, wstał, zmarszczył brwi surowo,
„To problem głębszy, trzeba doń podejść fachowo.
Czy tego Sierściuch chce, czy nie — prawda w końcu wypłynie,
Dla nas lepiej wcześniej, niż później — to jak balans na linie”.

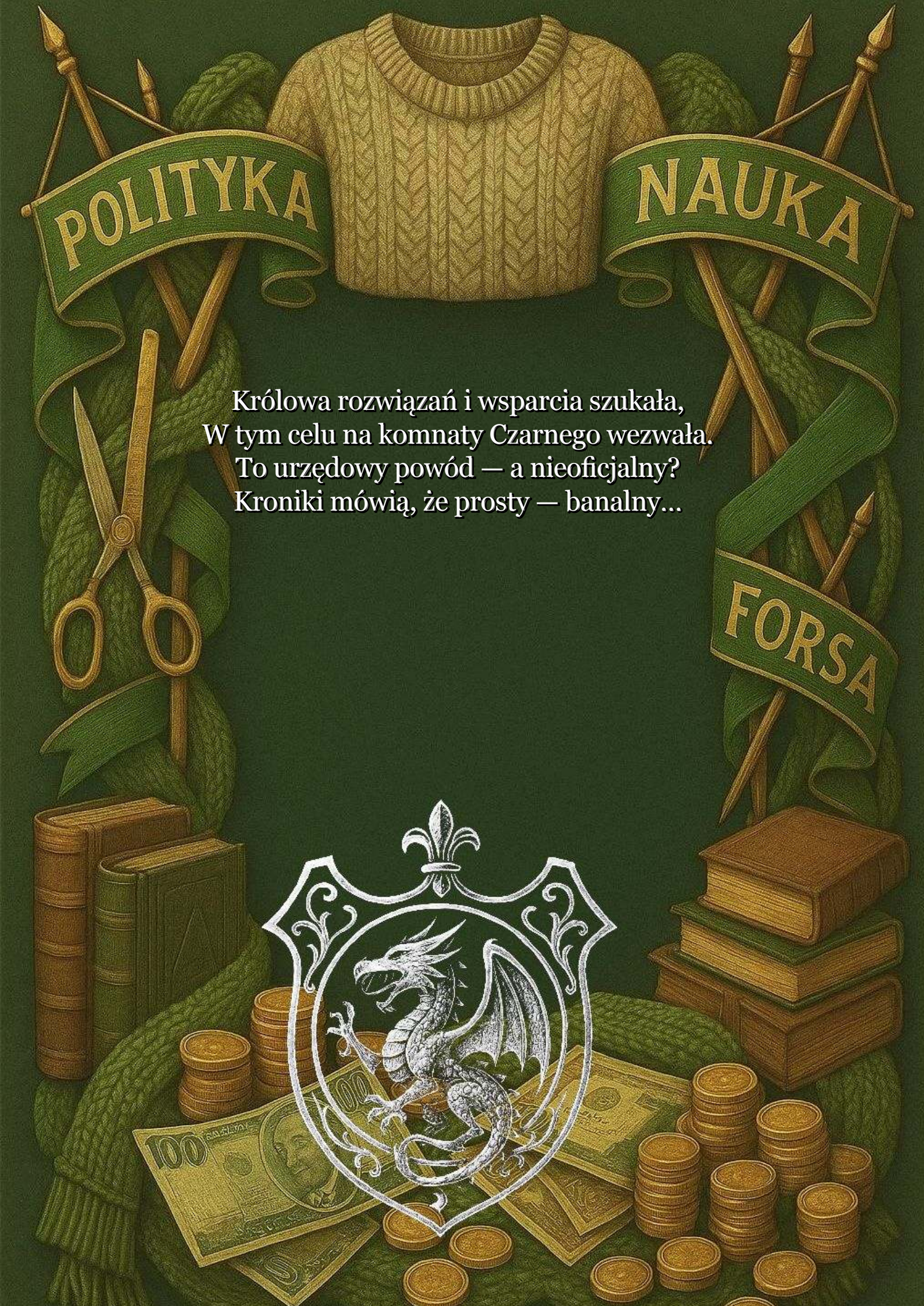
POLITYKA
NAUKA
FORSA
Królowa rozwiązań i wsparcia szukała,
W tym celu na komnaty Czarnego wezwała.
To urzędowy powód — a nieoficjalny?
Kroniki mówią, że prosty — banalny…

Bardzo ważne spotkania

Była uprzejma, miła, pełna dworskiej ogłady,
Wyrażała się mądrze, z manierą — nalewając herbaty.
Czarny spostrzegł nagle filuterny uśmieszek,
Jaki widział w gospodach — u tamtejszych dziewek.

„Zastanawiające…” — pomyślał, lecz milczał wymownie,
„Pani zna reguły gry — gra w nią wyjątkowo swobodnie.”
Usiedli więc, gawędząc o sprawach Krainy:
O armii, o Królu, podwyżce daniny.

Tak oto rozmowa trwała jeszcze chwilę,
Wspominali Warownię — i to całkiem mile.
Pojął, że jest wesoły, aż nazbyt rozmowny,
A jej gorset nagle wydał się… gustowny.

Choć mówiła o wojnie — patrzył na kokardę,
Co nie było Królową — wzbudzało pogardę,
Słyszał tylko dźwięki, nie pojmował treści,
Każda chwila bez Niej — to łoże boleści!

Nie śledził sensu, lecz kształt jej dekoltu,
Wzrok wbił w Panią — tak, jak w obiekt kultu,
Ta rozmowa — wagi już nie miala,
Dyplomacja? Armia? — ależ, bzdura mała.

Nachyliła się... Więc o to chodziło!
Zrozumiał intencję — serce mu zabiło,
Wstał, poprawił pas, nie rzekł ani słowa,
To było jego pożegnanie — milcząca odmowa*.

Lecz we wnętrzu trwała burzliwa narada —
Podstęp to był czy jakichś magicznych sił zdrada?
Odepchnął wszystkie myśli, w innej był potrzebie,
Pragnął z Niną przebywać, chciał już być u siebie!

**Choć sytuacja miała charakter dwuznaczny, a Królowa ewidentnie testowała granice relacji, Czarny zareagował w jedyny sposób, jaki uznał za godny – milczącym gestem odmowy. Nie było w tym chłodu ani pogardy – wręcz przeciwnie: jego odejście świadczyło o sile charakteru i szacunku zarówno do niej, jak i do własnych wartości. Wiedział, że mógłby ulec – i że być może oboje tego pragnęli – ale rozumiał, że chwila słabości mogłaby zniszczyć coś więcej niż tylko przyjaźń. To była odmowa pełna czułości z domieszką bólu. I może właśnie dlatego zapamiętała ją na zawsze.*

Pognał do domu co koń, tylko wyskoczy,
Dopadł do Niny — patrzył jej w oczy.
Wydała się inna — mroczna, pożądana,
Nieodparcie ponętna — jakby nowa, nieznana.

Ona — nieświadoma tej nagłej atencji,
Poczytała zachwyt, jako błysk inwencji.
Ujęta uwagą, sercem tak szalonym,
Uległa zmysłom — od dawna tłumionym.

Gdy noc się przeciągała — do wschodu jutrzenki,
Stało się jasne dla jego partnerki,
Że tyle energii, potencji i siły,
Dla jej drobnej posturki — nadmiarowe były.

Narzuciła pelerynkę na halkę — jak stała,
Odwróciła na pięcie, bo już zrozumiała:
Jeśli nie ucieknie w tym właśnie momencie,
To oszaleje — nie wie, co z nią będzie!

**Właściwie, nie wiadomo, dlaczego Nina uciekła. Może to była obawa przed samą sobą?*
Może przestraszyła się Czarnego….
A może dopiero tej nocy zrozumiała, jak blisko mogą być ze sobą bratnie dusze —
i że to bywa trudniejsze niż ucieczka przez łąkę, o świcie, w samej halce…
Są dwie wersje wydarzeń – według Czarnego pelerynki
nie było, ale matka Niny do dziś upiera się, że córka uciekła okutana,
jak na dziewczynę z dobrego domu przystało.
(Smok Redaktor uważa, iż wersja Czarnego jest dużo lepsza)

Pobiegła przez pola, świtem — do mamusi,
A do powrotu, już jej nikt nie zmusi!
„Mamo!” — wołała — „straszna przyszła bieda,
Rozpacz mnie ogarnia — tak się żyć nie da!”

****

Czarny wskoczył pod kołdrę i nakrył bez słowa:
„Przysięgam, nie tknę tej herbatki — za bardzo ziołowa!!
A jak dorwę Mglistego” – myślał — „tego konowała,
Lepiej, by rodzona matka w opiece go miała!”*

**Zgodnie z raportem Rady Anomalnych Manifestacji Bytów Ożywionych (RAMBO) — nadmierna konsumpcja naparu ziołowego autorstwa Mglistego Ziu może skutkować:*
– epizodami hiperstymulacji neuromięśniowej,
– niekontrolowaną emisją fluktuacji hormonalnych,
– czasową destabilizacją kontinuum intymno-przestrzennego,
– zaburzeniem kierunkowości strzałki czasu (tzw. Efekt Wczorajszego Po Jutrzejszym),
– a także wystąpieniem syndromu retrospektywnego żalu afektywnego (SRŻA) w wariancie “co ja najlepszego zrobiłem?”.

Jednak wróciła, pamiętna rozkoszy,
W obawie, że nadmierna cisza go spłoszy,
Że zniknie bez śladu, nim świt się zakradnie,
Że inna go zwabi – i serce mu skradnie.

Nie miał Ninie za złe, że go opuściła,
Znał dokładną przyczynę — i wiedział, że była,
Inna, niż żona przypuszczać by mogła,
Wolał, by Bogini Sekretu jej strzegła.

Przemiany i kontrakcja

Wiele się wydarzyło i wiele zmieniło,
Jednak, dla Teofila, oczywistym było,
Baran i jego stronnicy w siłę szybko rośli,
A tron i akolici do intryg nie dorośli.

Jedynie Królowa tempa dotrzymała,
Doskonale przewidując, pola nie oddała,
Zaiste, poziom zawodów był bardzo wysoki,
Żeby wygrać rundę, weź oddech głęboki.

...Stała się brutalna i ostra, gdzieś reguły miała,
Fortele i sztuczki sprawnie stosowała,
Nie wierzyła w bajki o czystych intencjach,
Solidnych zapewnieniach, darmowych subwencjach...

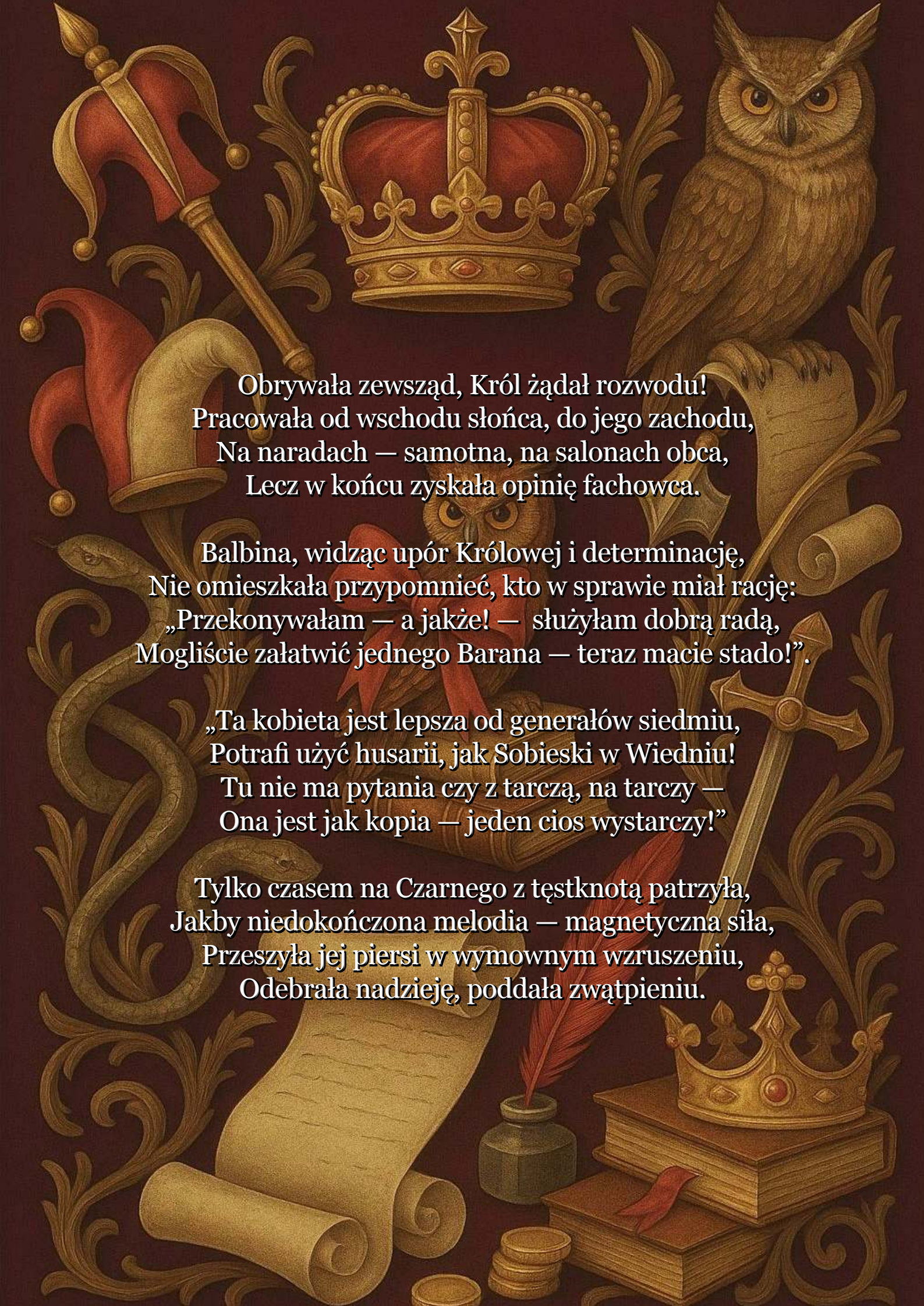

Obrywała zewsząd, Król żądał rozwodu!
Pracowała od wschodu słońca, do jego zachodu,
Na naradach — samotna, na salonach obca,
Lecz w końcu zyskała opinię fachowca.

Balbina, widząc upór Królowej i determinację,
Nie omieszkała przypomnieć, kto w sprawie miał rację:
„Przekonywałam — a jakże! — służyłam dobrą radą,
Mogliście załatwić jednego Barana — teraz macie stado!”.

„Ta kobieta jest lepsza od generałów siedmiu,
Potrafi użyć husarii, jak Sobieski w Wiedniu!
Tu nie ma pytania czy z tarczą, na tarczy —
Ona jest jak kopia — jeden cios wystarczy!”

Tylko czasem na Czarnego z tęstknotą patrzyła,
Jakby niedokończona melodia — magnetyczna siła,
Przeszyła jej piersi w wymownym wzruszeniu,
Odebrała nadzieję, poddała zwątpieniu.

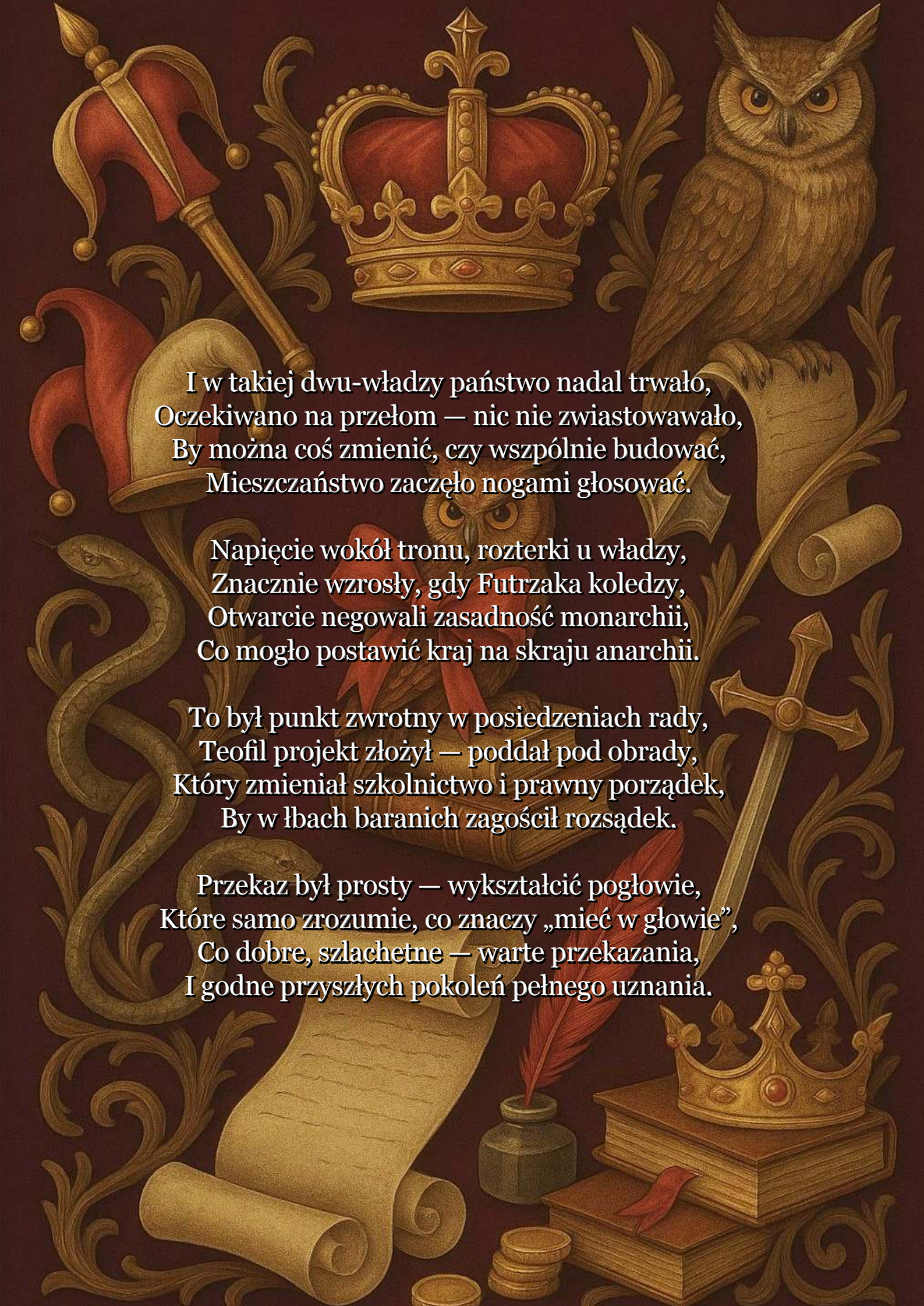

I w takiej dwu-władzy państwo nadal trwało,
Oczekiwano na przełom — nic nie zwiastowawało,
By można coś zmienić, czy wszpólnie budować,
Mieszczaństwo zaczęło nogami głosować.

Napięcie wokół tronu, rozterki u władzy,
Znacznie wzrosły, gdy Futrzaka koledzy,
Otwarcie negowali zasadność monarchii,
Co mogło postawić kraj na skraju anarchii.

To był punkt zwrotny w posiedzeniach rady,
Teofil projekt złożył — poddał pod obrady,
Który zmieniał szkolnictwo i prawny porządek,
By w łbach baranich zagościł rozsądek.

Przekaz był prosty — wykształcić pogłowie,
Które samo zrozumie, co znaczy „mieć w głowie”,
Co dobre, szlachetne — warte przekazania,
I godne przyszłych pokoleń pełnego uznania.

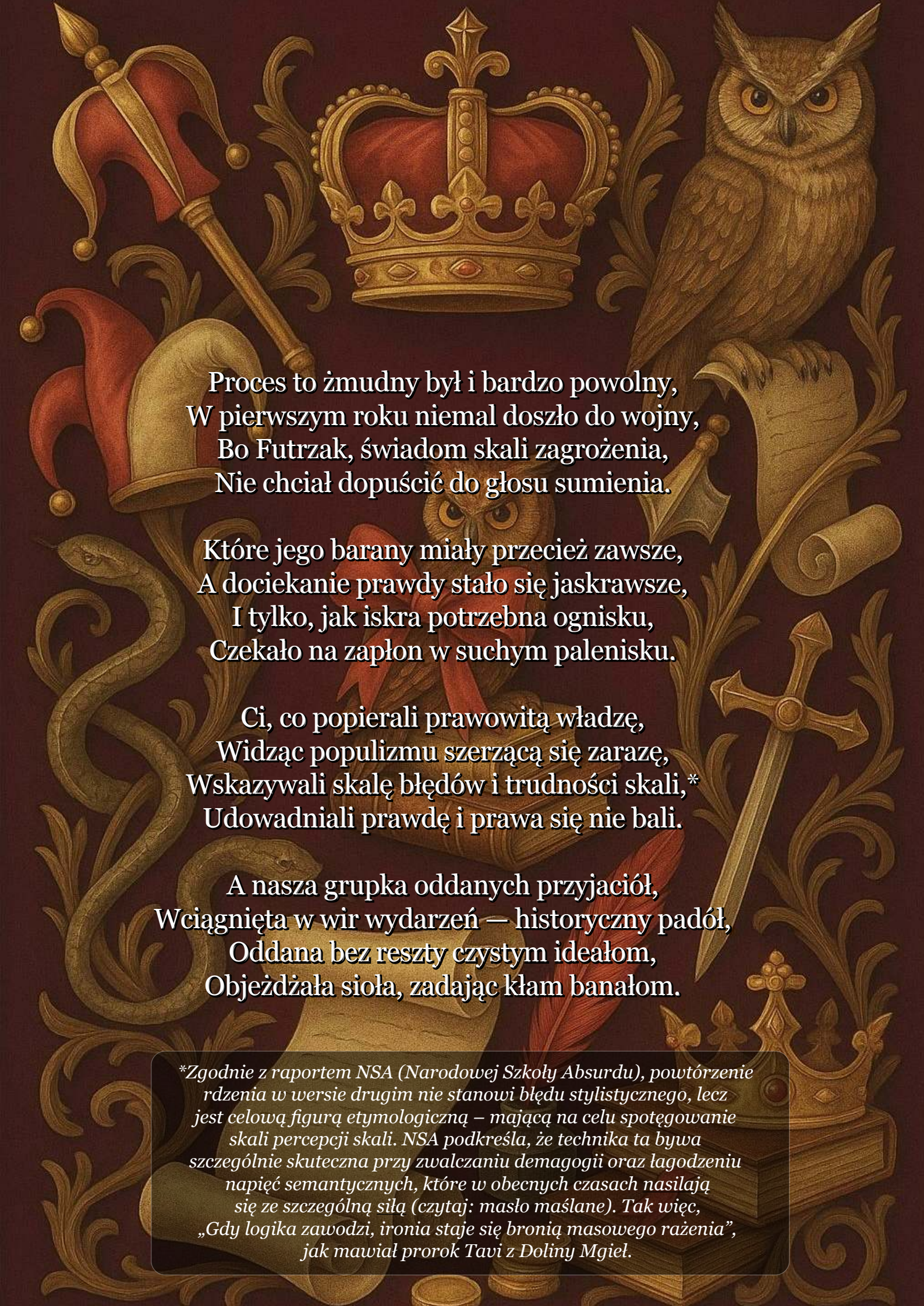

Proces to żmudny był i bardzo powolny,
W pierwszym roku niemal doszło do wojny,
Bo Futrzak, świadom skali zagrożenia,
Nie chciał dopuścić do głosu sumienia.

Które jego barany miały przecież zawsze,
A dociekanie prawdy stało się jaskrawsze,
I tylko, jak iskra potrzebna ognisku,
Czekało na zapłon w suchym palenisku.

Ci, co popierali prawowitą władzę,
Widząc populizmu szerzącą się zarazę,
Wskazywali skalę błędów i trudności skali,*
Udowadniali prawdę i prawa się nie bali.

A nasza grupka oddanych przyjaciół,
Wciągnięta w wir wydarzeń — historyczny padół,
Oddana bez reszty czystym ideałom,
Objeżdżała sioła, zadając kłam banałom.

**Zgodnie z raportem NSA (Narodowej Szkoły Absurdu), powtórzenie rdzenia w wersie drugim nie stanowi błędu stylistycznego, lecz jest celową figurą etymologiczną – mającą na celu spotęgowanie skali percepcji skali. NSA podkreśla, że technika ta bywa szczególnie skuteczna przy zwalczaniu demagogii oraz łagodzeniu napięć semantycznych, które w obecnych czasach nasilają się ze szczególną siłą (czytaj: masło maślane). Tak więc, „Gdy logika zawodzi, ironia staje się bronią masowego rażenia", jak mawiał prorok Tavi z Doliny Mgieł.*

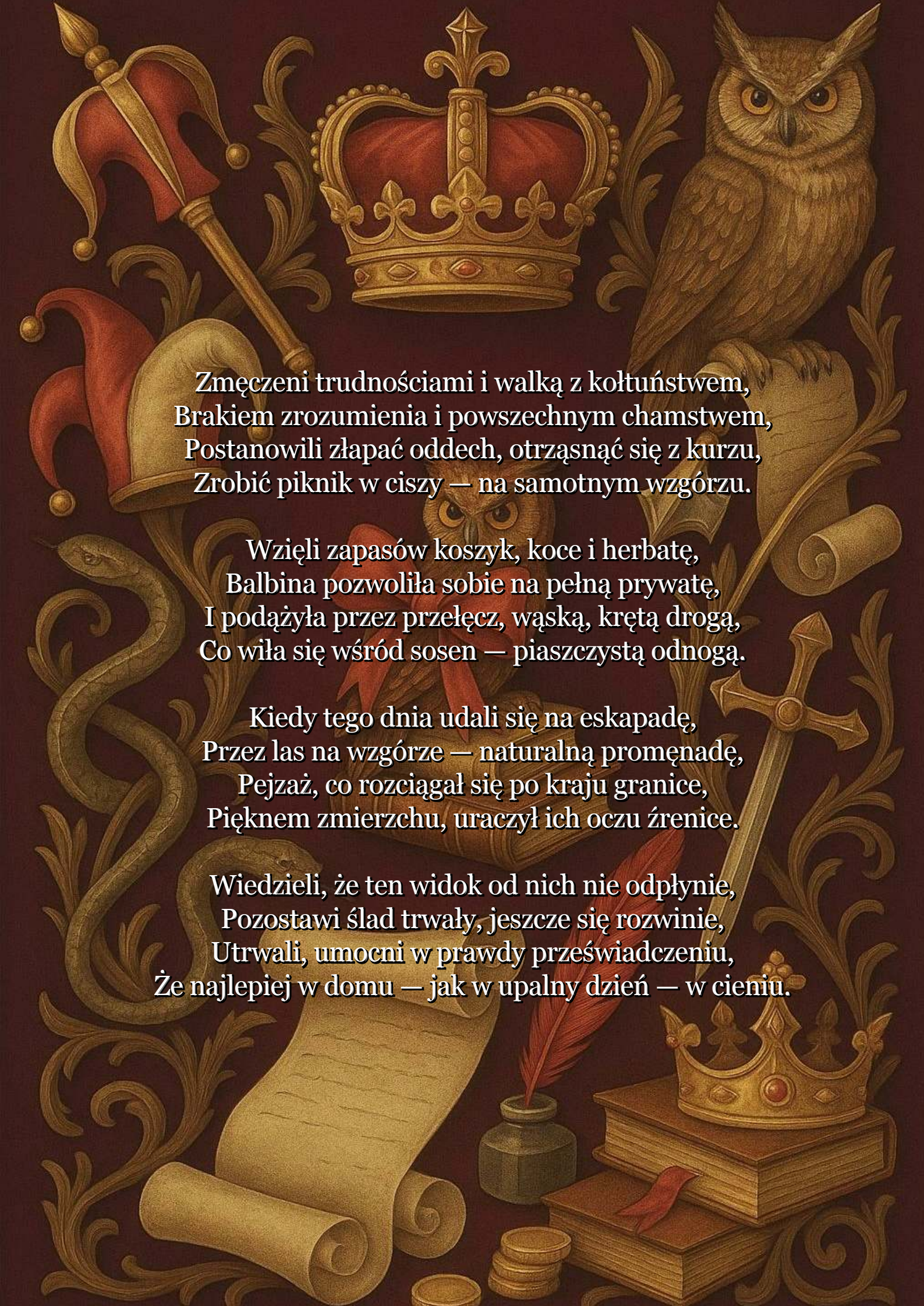

Zmęczeni trudnościami i walką z kołtuństwem,
Brakiem zrozumienia i powszechnym chamstwem,
Postanowili złapać oddech, otrząsnąć się z kurzu,
Zrobić piknik w ciszy — na samotnym wzgórzu.

Wzięli zapasów koszyk, koce i herbatę,
Balbina pozwoliła sobie na pełną prywatę,
I podążyła przez przełęcz, wąską, krętą drogą,
Co wiła się wśród sosen — piaszczystą odnogą.

Kiedy tego dnia udali się na eskapadę,
Przez las na wzgórze — naturalną promenadę,
Pejzaż, co rozciągał się po kraju granice,
Pięknem zmierzchu, uraczył ich oczu źrenice.

Wiedzieli, że ten widok od nich nie odpłynie,
Pozostawi ślad trwały, jeszcze się rozwinie,
Utrwali, umocni w prawdy przeświadczeniu,
Że najlepiej w domu — jak w upalny dzień — w cieniu.

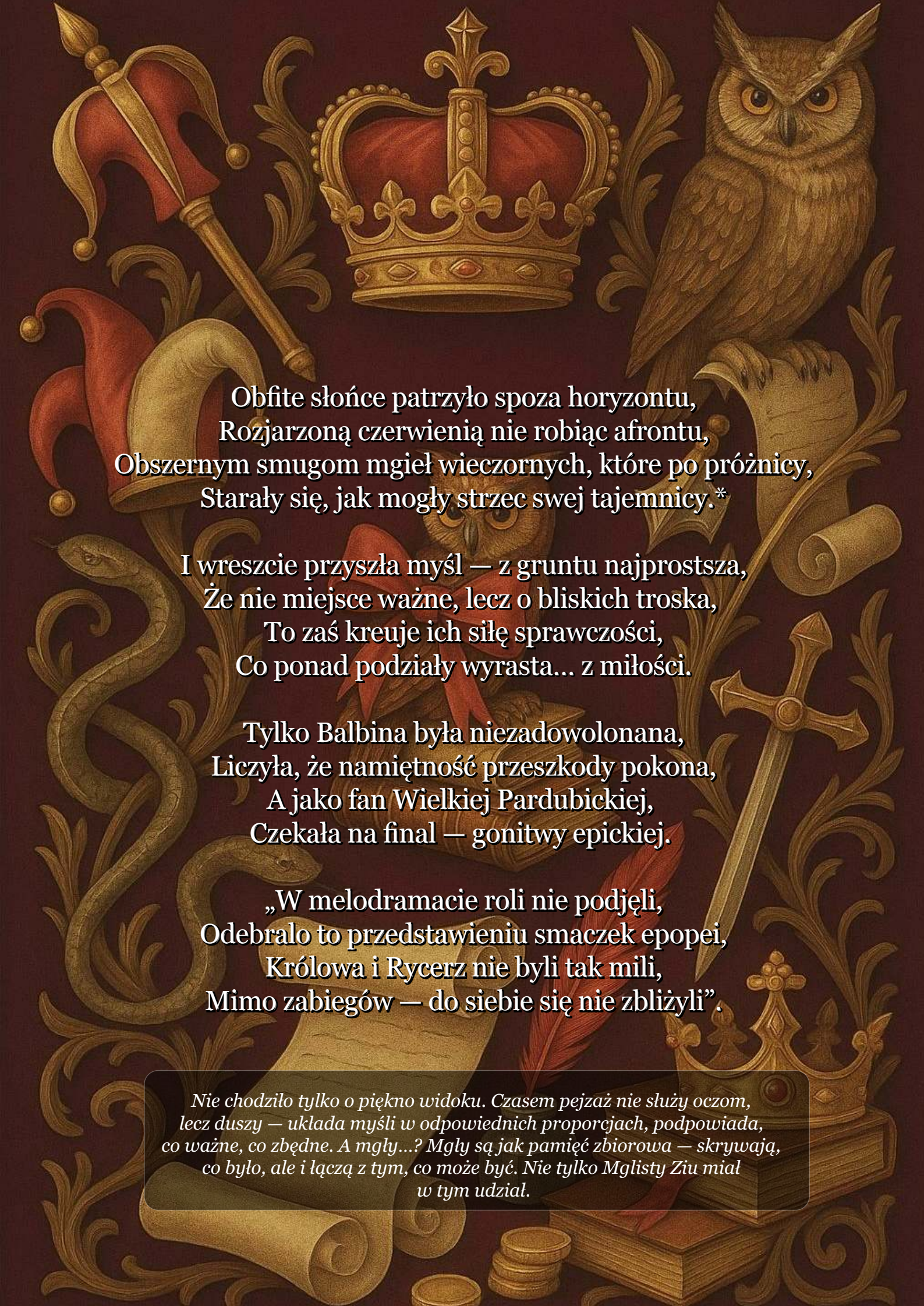

Obfite słońce patrzyło spoza horyzontu,
Rozjarzoną czerwienią nie robiąc afrontu,
Obszernym smugom mgieł wieczornych, które po próżnicy,
Starały się, jak mogły strzec swej tajemnicy.*

I wreszcie przyszła myśl — z gruntu najprostsza,
Że nie miejsce ważne, lecz o bliskich troska,
To zaś kreuje ich siłę sprawczości,
Co ponad podziały wyrasta… z miłości.

Tylko Balbina była niezadowolonana,
Liczyła, że namiętność przeszkody pokona,
A jako fan Wielkiej Pardubickiej,
Czekała na final — gonitwy epickiej.

„W melodramacie roli nie podjęli,
Odebralo to przedstawieniu smaczek epopei,
Królowa i Rycerz nie byli tak mili,
Mimo zabiegów — do siebie się nie zbliżyli”.

Nie chodziło tylko o piękno widoku. Czasem pejzaż nie służy oczom, lecz duszy — układa myśli w odpowiednich proporcjach, podpowiada, co ważne, co zbędne. A mgły…? Mgły są jak pamięć zbiorowa — skrywają, co było, ale i łączą z tym, co może być. Nie tylko Mglisty Ziu miał w tym udział.

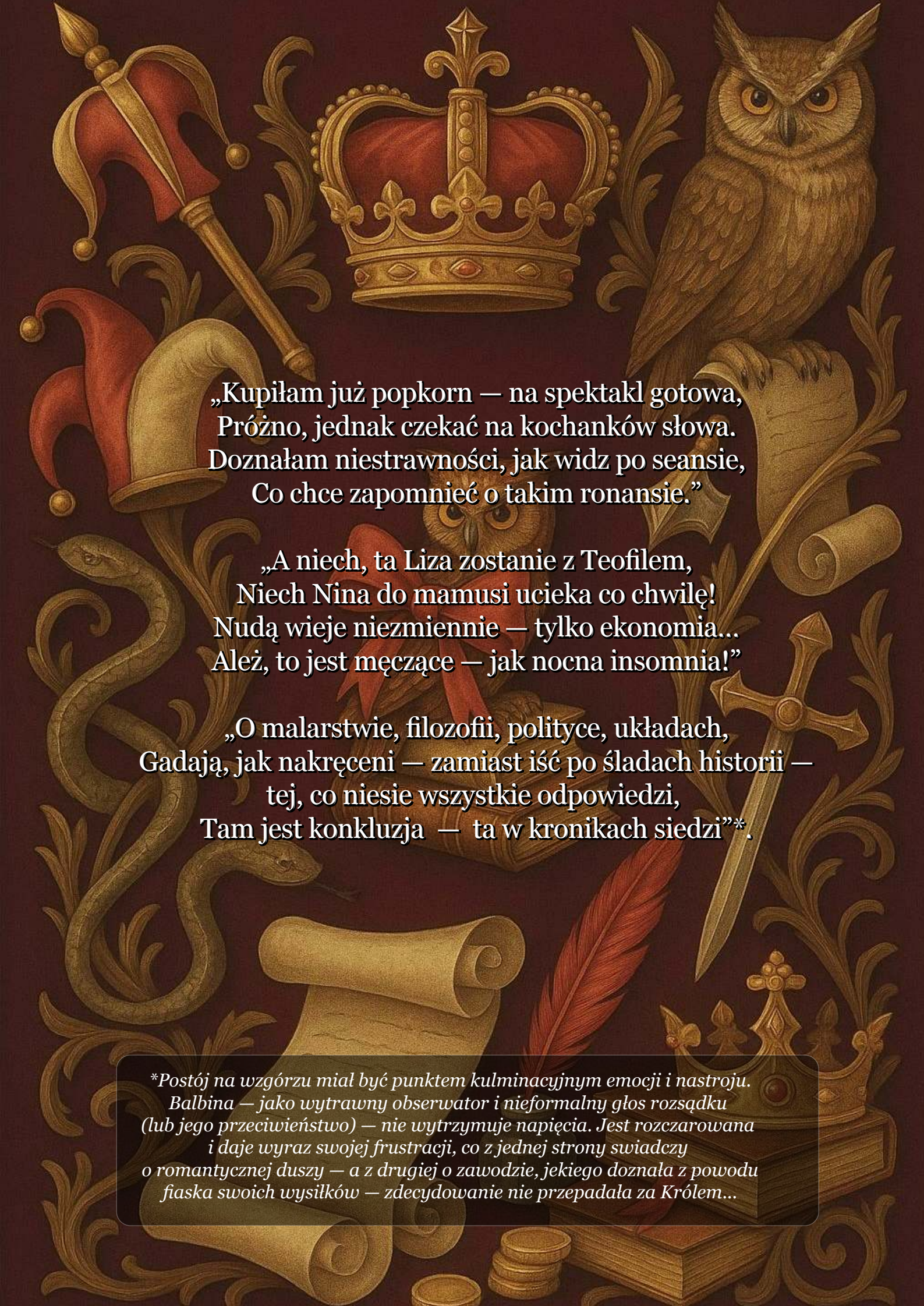

„Kupiłam już popkorn — na spektakl gotowa,
Próżno, jednak czekać na kochanków słowa.
Doznałam niestrawności, jak widz po seansie,
Co chce zapomnieć o takim ronansie.”

„A niech, ta Liza zostanie z Teofilem,
Niech Nina do mamusi ucieka co chwilę!
Nudą wieje niezmiennie — tylko ekonomia…
Ależ, to jest męczące — jak nocna insomnia!”

„O malarstwie, filozofii, polityce, układach,
Gadają, jak nakręceni — zamiast iść po śladach historii —
tej, co niesie wszystkie odpowiedzi,
Tam jest konkluzja — ta w kronikach siedzi”*.

**Postój na wzgórzu miał być punktem kulminacyjnym emocji i nastroju. Balbina — jako wytrawny obserwator i nieformalny głos rozsądku (lub jego przeciwieństwo) — nie wytrzymuje napięcia. Jest rozczarowana i daje wyraz swojej frustracji, co z jednej strony swiadczy o romantycznej duszy — a z drugiej o zawodzie, jekiego doznała z powodu fiaska swoich wysiłków — zdecydowanie nie przepadała za Królem…*

I choć bajka się kończy — pewne prawdy trwają.
Dobro — dobrem zostaje, zło — złem, choć inny „label” mają.
Podobnie z ludźmi — tu nie ma różnicy:
Spotkasz i wilka... w stroju zakonnicy.*

** I odwrotnie – zakonnicę wśród wilków,*
która je nauczy Pieśni nad Pieśniami... albo Psalmu 23.

„Lustereczko powiedz przecie…”

Patrzyła głęboko w te oczy odbite,
A kryształowe lustro nie kłamało
Wzrok bazyliszka wydzierał złowrogo,
Serce — dręczone — w nim się odbijało.

Czuła dni ciężar — natrętnie wracają,
Ciągle w jej głowie pustkę pomnażając,
Jak mantra: „mogłaś zrobić to inaczej”,
Hasło niechciane — ciągle powtarzając.

Chciałam postąpić właściwie… i być szczęśliwa.

Traktat o Mglistym Ziu

Początki

Wszystko zaczęło się, gdy Mglisty Ziu był przeziębiony i nie mógł swobodnie oddychać. Cała sprawa się przeciągała, a węch — jego główne narzędzie analizy aromatycznej — szwankował. Postanowił więc przeprowadzić badania stosowane w zakresie inhalacji naturalnej.

Obserwował kiedyś starą zielarkę, która dawała wytchnienie ludziom w różnych dolegliwościach. W oparciu o metodę empiryczną „na oko i na węch" opracował Protokół nr 1:

„Synteza melasy roślinnej o działaniu euforycznym".

Zebrał pokaźną ilość zielska i rozpoczął proces ekstrakcji poprzez wrzucenie wszystkiego do kotła i mieszanie kijem, „aż zacznie wyglądać groźnie".

Po kilku dniach pracy uzyskał substancję o niejednoznacznej konsystencji i zapachu. W swoich notatkach zapisał:
„Melasa lepka, półżywa, o barwie moralnie wątpliwej.
Reakcja własna: mdłości.
Wynik: obiecujący."

Eksperyment okupił rozstrojem żołądka, niestrawnością i chwilowym zanikiem chęci do życia.

Ziu stwierdził z przekąsem:
„Tym sposobem nie tylko się nie wyleczę, ale jeszcze umrę w imię postępu."

Następnego dnia, po krótkim odpoczynku i dłuższym marudzeniu, zrodziła się Hipoteza nr 2:
„Substancję należy testować na organizmach pomocniczych."

I wtedy właśnie los (a raczej pech) przyniósł pod kanciapę skunksa. Mglisty, kierując się naukową dociekliwością, zastosował metodę pełnego zanurzenia. Badany obiekt protestował, jednak w imię nauki został utrzymany pod powierzchnią roztworu tak długo, aż „wyniki zaczęły się klarować".

Po zakończeniu procedury skunks uniósł ogon, gotów do tradycyjnej reakcji obronnej. Jednak ku zdziwieniu obu stron, zamiast duszącego odoru, w powietrzu rozszedł się aromat pierwiosnków i lekkiej trawy o poranku.
Ziu odnotował to z chłodną precyzją:

„Zjawisko: transmutacja odorów.
Skutki uboczne: poprawa jakości powietrza.
Wniosek: sukces częściowy."

Skunks, choć odmieniony, został społecznie odrzucony. Jednak jego przypadek wzbudził zainteresowanie środowisk komercyjnych — szczególnie skrzatów, które miały wyjątkowy nos do interesów. Wkrótce powstała pierwsza w historii linia zapachowa Wielkiej Puszczy: « Lutin n° 5 — essence de foręt profonde ».

Ziu, zachęcony tym „przypadkowym sukcesem kontrolowanym", przystąpił do dalszych badań.
W jego notatkach pojawił się dopisek:
„Jeśli można zmienić zapach skunksa, to ja zmienię świat."

***

O królikach tuningowanych i zjawisku pionizacji mobilnej

Mglisty, zainspirowany sukcesem w dziedzinie aromaterapii stosowanej na skunksach, przystąpił do badań nad wzrostem ogólnej wydolności gatunków leśnych.
W swoich notatkach zanotował:

„Zapach opanowany. Czas na ruch. Natura jest zbyt powolna, trzeba jej pomóc."

Wybrał więc organizm testowy o wysokiej płodności i niskiej inteligencji, idealny do obserwacji statystycznych: królika pospolitego (Lepus vulgaris na dopingu eksperymentalnym). Do melasy dodał więc katalizator w postaci mieszaniny tlenków metali przejściowych (głównie MnO_2 i Fe_2O_3) w stosunku molowym 3:1, inicjując reakcję heterogeniczną o charakterze autokatalitycznym.
W wyniku wzrostu aktywności centrów redoksowych zaobserwowano chwilowe przejście układu z fazy koloidalnej do homogenicznej, czemu towarzyszyła spontaniczna redukcja związków karbonylowych do alkoholi o wyraźnym zapachu aldehydowym.

Proces stabilizowały estry aromatyczne powstające na skutek kondensacji międzygrupowej, a końcową fazę reakcji określił jako quasi-adiabatyczną, o niewielkim przesunięciu entalpicznym ($\Delta H \approx 2{,}3$ kJ/mol).

W notatkach zapisał lakonicznie:

„Układ przeszedł w stan dynamicznej równowagi metastabilnej.
Kolor: bursztynowy.
Zapach: obiecująco toksyczny."

Pierwszy osobnik po spożyciu mikstury wykazywał chwilowe objawy zdziwienia, po czym gwałtownie wspiął się na pień pobliskiego dębu. Ziu, nie wierząc własnym oczom, notował z zapałem:

„Zachowanie: pionizacja mobilna.
Kierunek ruchu – ku niebu.
Cel – nieznany."

Po upływie godziny królik biegał po koronach drzew z gracją lotopałanki.
Eksperyment powtórzono, tym razem z grupą kontrolną.
Efekt: identyczny (Ziu obawiał się, jak każdy profesjonalny badacz o powtarzalność). W rezultacie doszło do powstania całkowicie nowego ekosystemu określonego później mianem „Strefa Überhimmel".

W dzienniku odnotował:

„Zjawisko: rozwój zdolności wspinaczkowych u gatunków naziemnych. Efekt uboczny: dezorganizacja ptasiej przestrzeni życiowej. Sytuacja wymaga dalszych badań (i siatki ochronnej)."

Wkrótce całe stada królików zaczęły rywalizować w prędkości i technice skoków między konarami, co doprowadziło do narodzin zjawiska kulturowego znanego jako „Baumkronenrennen”, lub krótko — „Skyline GP”. Ziu z dumą notował czasy przelotu i pochylenie trajektorii, używając do tego swojego niezawodnego stopera.

W jednej z notatek zapisał:

„Średni czas przelotu jednego pełnego okrążenia polany:
11,8 sekundy.
Wrażenia estetyczne: wzniosłe.
Wytrzymałość rośnie.
Ryzyko złamania karku – pomijalne.”

Niektóre osobniki wykazywały dodatkowe cechy uboczne:
– spontaniczną fluorescencję (oznaczoną jako Mutacja Oczojebna),
– skłonność do śpiewu w locie,
– oraz niepohamowaną potrzebę rywalizacji nawet z własnym cieniem.

Badacz, analizując dane, stwierdził z powagą:

„Prędkość wzrosła wykładniczo.
Inteligencja – nie.
To wymaga korekty.
Wyniki nie dają mi spokoju.
Króliki osiągnęły poziom, którego teoria nie przewidywała.
Prawdopodobnie – ja też.”

***

Niebo jarzyło się od króliczych świateł, a drzewa milczały, jakby nie chciały przeszkadzać. Tamtej nocy narodziła się legenda Skyline GP — wyścigów, w których grawitacja była tylko sugestią.

Projekt: Lisi Wektor

Po buncie ptaków — zwłaszcza drozdów i sikor, które wydały wspólne oświadczenie („Nie będziemy śpiewać, to bez sensu”) — Mglisty Ziu zrozumiał, że trzeba działać zdecydowanie.

W notatniku z tego okresu znaleziono zapis o znamiennym tytule:

„Projekt: Lisi Wektor. Strategia kontrbalansu ekologicznego.”

Wierzył, że tylko lisy mają dość sprytu i instynktu, by zrównoważyć nadmiar euforii w koronach drzew.

Jak zapisał:
„Trzeba stworzyć drapieżnika empatycznego – takiego, który zje ofiarę i jeszcze przeprosi.”

Procedura badawcza

W korycie eksperymentalnym umieścił cztery lisy:
– samca Alfa (poważny, o spojrzeniu księgowego),
– dwie siostry rudowłose (L1 i L2, bliźniacze genotypy z sekcji „wzmożonej zwinności”),
– oraz jednego, który po latach przeszedł do legendy jako Profesor Ogon (bo zawsze wszystko wąchał, zanim podpisał).

Do melasy dodał – kompleks polisacharydowy z grupy $C_6H_{10}O_5$ połączony z mikrocząstkami żelaza meteorytowego. Reakcja miała charakter heterogeniczno-autokatalityczny, W momencie dodania mikrocząstek żelaza, na powierzchni roztworu pojawił się efekt mikroferromagnetycznej koagulacji cząstek organicznych, czemu towarzyszyło wydzielanie się ciepła i krótkotrwałe zjawisko fluorescencji molekularnej typu β-delta. W miarę stygnięcia roztworu obserwowano rekombinację łańcuchów polisacharydowych z przejściowym tworzeniem klastrów o strukturze helikalno-amorfizowanej,

a sam Ziu w przypisie zanotował:

„Jeśli to zadziała, puszcza stanie się samoregulującym systemem modularnym.”

Zadziałało.

Ale — jak zwykle u Ziu — nie tak, jak planował.

Nowe lisy nie tylko wspinały się po drzewach z gracją gimnastyków, ale też… zaczęły prowadzić długie rozmowy między sobą o sensie życia. Zamiast polować, dyskutowały o równowadze między głodem a duchowością. Profesor Ogon założył nawet coś na kształt Kółka Dialogu, którego motto brzmiało:

„Kto zjada z miłością, ten syty mądrością.”

Reakcja Puszczy

Ptaki zaniemówiły.
Króliki — w ekstazie.
A Ziu, stojąc w cieniu brzozy, tylko westchnął:

„Znowu przesadziłem z katalizatorem i mam następny gatunek na drzewach.”

Elastyczne Rogi i Błąd Modulacji Peptydowej

Po nieudanych próbach z lisami, Mglisty postanowił skierować uwagę ku większym przedstawicielom fauny.
„Rogacze są jak dysonanse w symfonii – głośne, dumne i trudne do wytłumienia,”
– zanotował w notatniku, podkreślając słowo „trudne” dwukrotnie.
„Są zbyt duże, żeby wspinać się na drzewa”.

Tym razem postanowił opracować formułę stabilizującą nadmiar adrenaliny u jeleni w okresie rykowiska.
Do mieszaniny podstawowej melasy wprowadził kompleks peptydów aromatycznych połączonych z jonami wapnia i magnezu, tworząc tzw. związek elastyczno-strukturalny MgPept-β2.

W teorii miał on zwiększać kontrolę motoryczną przy zachowaniu instynktu dominacji. W praktyce — jak to u Ziu — zaszło zjawisko odwrotne do zamierzonego.

Po aplikacji (podstępna iniekcja w momencie gdy osobnik ocierał się o konar drzewa) „roztworu korekcyjnego" (0,3 ml/kg masy ciała) rogacze faktycznie „zyskały spokój",
ale ich poroże przeszło proces denaturacji częściowej,
przy czym cząsteczki kolagenu zostały zastąpione łańcuchami peptydów o niskiej sztywności przestrzennej.

W efekcie, rogi stały się sprężyste, jakby utkane z gęstej gumy organicznej.

Wszystko zapowiadało się stabilnie, aż do momentu, gdy nad Puszczą przeszła burza z przelotnym deszczem. Wilgoć powietrza spowodowała reaktywację jonów Ca^{2+} i Mg^{2+} — efekt typowy dla układów o niskim stopniu sieciowania polimerów organicznych. Rogacze, nieświadome chemicznej natury problemu, ruszyły na rykowisko, lecz ich poroże zachowywało się nieprzewidywalnie: przy pierwszym kontakcie miękło, drgało i po chwili ... wiotczało, wydając z siebie dźwięk przypominający „odbicie sflaczałej piłki od parkietu.".

Łanie, dotąd stojące w skupieniu i z podziwem obserwujące rywalizację samców, tym razem pokładały się ze śmiechu. Niektóre turlały się po trawie, inne chowały pysk w runo, próbując zachować powagę — bezskutecznie.

Ziu zanotował w dzienniku:

„Eksperyment nie spełnił założeń w zakresie dominacji, lecz zadziałał doskonale w obszarze poprawy nastroju populacji żeńskiej.

Wniosek: Formuła MgPept-β2 ma potencjał terapeutyczny."

Z biegiem dni „gumowe rykowisko" stało się wydarzeniem towarzyskim. Skrzaty przychodziły z torbami popcornu, a sowy, łase sensacji nagrywały „turnieje" na przenośnym sprzęcie. Sami zainteresowani, zaś szybko zrozumieli, że ten rodzaj poroża ledwo nadaje się do sparingów a nie do poważnych godowych bitew. Cały las drżał nie od echa walk, lecz od śmiechu. Ziu tylko siedział pod sosną nr 317, zapisywał kolejne obserwacje i mruczał do siebie:

„Przynajmniej ktoś wreszcie szczęśliwy."

Dalsze przemyślenia i zwiększenie efektywności

Mglisty obserwował chaos, który wyłaniał się z zagajników powoli, lecz przyśpieszał liniowo. On jednak epatował spokojem stoika. Dla innych to byłby koniec świata, dla niego – kolejny etap rozwoju projektu.
Notował, poprawiał proporcje, dodawał coś zielonego, coś lepkiego i coś, czego lepiej nie nazywać.
Każda nowa mikstura osiągała wyższy pułap absurdu — a on wciąż widział w tym postęp.

Nie było takiego stworzenia, które mogłoby powiedzieć mu „stop”. Bo jeśli tylko próbowało, jego morda, ryjek albo dziób lądowały w korytku. A potem następował moment ciszy… i eksplozja nieprzewidywalności.

Ziu notował wszystko skrupulatnie:
„Efekt – zaskakujący. Obiekt – uciekł na drzewo. Wnioski – pracować dalej.”

Nic nie było w stanie go powstrzymać.
Maksyma „Cel uświęca środki” nabrała w jego laboratorium, niepokojącego wymiaru. Z błyskiem w oku i miksturą w korytku, zacierał granicę między badaniem a objawieniem. Każdy eksperyment stawał się aktem wiary — a każda reakcja chemiczna, modlitwą o sens w bezładzie materii.

Mruczek i eksperyment ostateczny

Stało się — został sam.
Było tak spokojnie, że cisza zdawała się mieć własny ciężar. Nawet liście tej jesieni nie szeleściły — jakby las wstrzymał oddech.

On zaś siedział w półmroku kanciapy, wpatrzony w pustkę, której nie potrafił już nazwać.

Był załamany.

Mruknął pod nosem:
„Nie chcę skakać po drzewach, chciałem się tylko pozbyć kataru…”

Słowa odbiły się od ścian, po czym zgasły w ciszy.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, ze spuszczoną głową, coś otarło się o jego nogawkę.

Zamarł.

Spojrzał w dół — a tam, wśród wilgotnych liści, stał wyleniały kot. Patrzył na niego z nadzieją, wielkimi, żółtymi ślepiami, i cicho mruczał.

Ziu pochylił się, jakby się bał, że to sen, który może się rozpaść.
„Nie wszystko stracone" — pomyślał.
I po raz pierwszy od dawna rozpromienił się.
Delikatnie objął zwierzę z taką miłością, jakby to było coś, co przetrwało koniec świata. Nakarmił wychudzonego i wrócił do środka. Tam, w zapachu stęchłej melasy i papierów pełnych wzorów, ponownie rozpalił lampę.

Zabrał się do pracy.

To był najspokojniejszy i zarazem najradośniejszy okres jego życia. Kociak mruczał, a on napełniał menzurki i oglądał preparaty pod mikroskopem. Wieczorami zasypiali obok siebie — jeden z głową na notatniku, drugi na stercie papierów z chemicznymi wzorami.

Po kilku tygodniach intensywnych badań, kolejna wersja beta (5.1.2.0.8) była gotowa do testów. Ostrożnie napełnił korytko opalizującym, gęstym płynem. Planował przeprowadzić test kontrolowany. Chwycił pipetę, spojrzał na Mruczka i… nie zdążył nic zrobić.

Zwierzak z wyprostowanym ogonem, podbiegł pierwszy, i zaczął chłeptać z takim zapałem, że Ziu musiał go odciągać, żeby nie przesadził.

„Przynajmniej jeden z nas wierzy w naukę" — zanotował później w dzienniku.

Zaczęło się — kotek… padł jak rażony piorunem, nawet nie zdążył odejść od korytka. Ziu pomyślał w pierwszej chwili, że „już po kocie”, ale nie — on spał i sen wyglądał na zdrowy i głęboki. Ułożył go więc na jego ulubionym stosie notatek i … czekał.

Ziu siedział na stołku, nie ruszając się przez długie minuty. Płomień lampy drgał niepewnie, a cień kota na ścianie wyglądał jak plama winy.

Czas płynął inaczej.
Mikroskop, pipety, szkło i dym z tygla — wszystko nagle straciło sens, gdy uświadomił sobie, że nie bada już świata, tylko własne sumienie.

Po godzinie kot poruszył wąsem.
Po dwóch – wyciągnął łapę, ziewnął szeroko i przeciągnął się tak, jakby wstał z najgłębszego snu w historii fauny.

Mglisty zamarł, trzymając pióro nad notatnikiem.

Mruczek podszedł do niego wolnym krokiem, spojrzał w oczy, a na jego pysku pojawił się uśmiech. Nie ten zwykły, koci — raczej coś, co można by nazwać świadomym błogostanem egzystencjalnym.

„Zachowanie: relaks totalny.
Parametry: stabilne.
Celowość działań: brak.
Wnioski: kot osiągnął oświecenie.”

Mglisty nie mógł uwierzyć w to, co widzi.
Kot chodził, mruczał, rozglądał się, a potem usiadł naprzeciwko niego, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko jest dobrze, stary.”

A wtedy wydarzyło się coś jeszcze dziwniejszego — futro Mruczka zaczęło delikatnie połyskiwać, jakby odbijało światło z wnętrza. Nie świeciło, nie biło blaskiem — raczej emanowało spokojem. ...i ten jego szelmowski uśmieszek, który czaił się w kąciku pyska — delikatny, ledwie zauważalny, ale niewątpliwie bardzo znaczący — to dawało do myślenia.

Ziu pochylił głowę, jakby próbował odczytać z tego grymasu wiadomość z innego świata. Wiedział jedno — kot nie był już zwykłym zwierzęciem. Czuł, że zaszło coś fundamentalnego, coś, czego nie da się wyrazić w żadnym wzorze.
Zamiast notować, milczał. A w jego oczach, po raz pierwszy od dawna, pojawiła się iskra, której nie można było pomylić z odbiciem lampy.

Właściwie należało powiedzieć, że Mruczek był w dużo lepszej formie niż przed eksperymentem. Biegał, psocił, wspinał się na półki i przewracał butelki, ale nie chciał jeść — tylko od czasu do czasu łypał okiem na korytko stojące w kącie.

„Ciekawe...” — przemknęło przez głowę Mglistego — „co on kombinuje?”

Rankiem, gdy nalał mu do miski ciepłego mleka, a kociak demonstracyjnie odmówił, Ziu stracił cierpliwość. Napełnił korytko melasą po brzegi i patrzył, jak jego nowy przyjaciel wychłeptał zawartość do gołego drewna.

Kot zrobił dwa kroki, potknął się o leżący na podłodze kij od szczotki i niemal zastygł, przewieszony przez trzonek — jakby wyzionął ducha.

Mglisty westchnął, ale nie spanikował.
Wiedział, że to sen.
Delikatnie przeniósł kota na kanapę,
odgarniając rupiecie, które tam od dawna leżały.
Kot spał. Głęboko. I spokojnie.

Mruczek, wpatrzony w ciemniejącą Puszczę, dość wyraźnie widział odbicie naukowca — choć, co do fachowości tego ostatniego, zdania pozostają podzielone — ufał mu bezgranicznie, czego dał wyraz wielokrotnie.

Cienka szyba, po której spływały krople majowego deszczu, zdawała się być granicą między dwoma światami — łączyła ich i oddzielała jednocześnie.

„Cholera” — pomyślał badacz. — To nie jest zwykłe 0,3 ml/kg. Ten kot poszedł daleko… poza skalę.

Po 24 godzinach Ziu, już poważnie zaniepokojony, sprawdził parametry życiowe stworzenia — nie różniły się od tych typowych dla głębokiego snu. Czas się rozciągał, a jego nerwowość rosła.

Wreszcie Mruczek poruszył ogonem, przeciągnął się, rozejrzał po kanciapie z niedowierzaniem i spojrzał na Mglistego wzrokiem, który zdawał się mówić:

„To nie może być prawda… co to znaczy… ale jak to?”

Ziu nie wytrzymał i krzyknął:

— Powiedz, co się stało!!

Kot tylko zamruczał, głośno, leniwie, z uśmiechem pełnym sekretu. Brzmiało to jak:

„Sam sobie sprawdź… skoro jesteś taki mądry.”

Od pierwszego eksperymentu, kiedy zatruł się zielskiem z Wielkiej Puszczy, Mglisty Ziu starannie unikał testów na samym sobie. Wolał obserwować innych — dystans dawał mu poczucie kontroli. Ale tym razem… nie było wyjścia.

Mruczek siedział na parapecie z miną znawcy, który już wie, jak to się skończy, i tylko poruszał ogonem, jakby odliczał sekundy.

Ziu westchnął.
Zmierzył ściśle 0,3 ml substancji (choć ręka lekko mu drżała), rozcieńczył w wodzie destylowanej i zanotował w dzienniku:

„Faza VII – Próba Autonomiczna.
Obiekt: autor eksperymentu.
Cel: weryfikacja efektu obserwowanego u Felis Catus (Mruczek).
Ryzyko: niepoliczalne.”

Spojrzał jeszcze raz na kota.
Ten położył łeb na przednich łapach, przymknął oczy i jakby westchnął:

„Stary, to dawka dla dzieci… na twoim miejscu dodałbym miodu.”

Mglisty uśmiechnął się krzywo,
uniósł fiolkę z cieczą, która mieniła się jak płynne światło,
i bez namysłu wypił.

Nic spektakularnego się nie wydarzyło.
Niebo nie zadrżało, ziemia nie zagrzmiała, a w zlewce nie pojawiła się tęcza. Poczuł tylko, jak napięcie opuszcza ciało, a głowa staje się lekka — tak lekka, że myśli zaczęły mu same podskakiwać jak ziarenka rtęci.

Ziu przysiadł przy stole i zaczął mówić.
Na początku spokojnie, rzeczowo, potem coraz szybciej — jakby od dawna ktoś czekał, aż wreszcie puści mu blokada logiczna.

– Bo widzisz, Mruczku – mówił – wszystko w naturze jest interakcją, a każda interakcja dąży do równowagi…tylko, że równowaga jest nudna! Więc życie musi ją psuć, żeby miało sens!

Kot westchnął i odwrócił się tyłem.
Mglisty wziął to za zachętę do kontynuacji.

– Popatrz na mnie, ja też jestem systemem otwartym!
Wymieniam energię, informację i… emocje.
Tylko czemu, do diabła, ciągle mi się coś rozlewa?!

Kwintesencja poszukiwań

Kocur zamruczał – bardzo znacząco, ale bez komentarza.
Ziu podrapał się po głowie, dopił resztkę napoju,
poprawił notatki i po raz pierwszy od miesięcy poczuł, że wszystko jest na swoim miejscu.

Tej nocy dobrze spał.

Rano wstał z niezwykłą jasnością w głowie.
Przeliczył parametry molowe i wagowe preparatu z dokładnością do czwartej cyfry po przecinku. Każdy wzór, każdy współczynnik — nic nie mogło zostać przypadkiem.

Zajrzał do notatek, porównał z obserwacjami kota i zanotował:

„Jeśli przeżyję, pójdę jego drogą."

Dokładnie odmierzył dawkę — tę samą, którą Mruczek przyjął za pierwszym razem. Napełnił korytko, po czym, po krótkim wahaniu, wypił zawartość jednym haustem.

Podniósł wzrok i zobaczył swojego towarzysza stojącego w oknie. Ten patrzył na drzewa na zewnątrz — spokojnie, jakby wiedział coś, czego Ziu dopiero miał się dowiedzieć.

Może mu się wydawało, a może nie —
ale przysiągł by, że usłyszał ciche, przeciągłe:

„Nic się nie martw… będzie dobrze."

Powoli wszystko wokół zaczęło się rozmywać.
Kanciapa, stół, menzurki, nawet Mruczek — wszystko odpływało w ciepłej mgle. Ziu czuł się tak, jakby ktoś z zewnątrz po raz pierwszy w życiu przypiął mu wrotki. Jechał na oślep — przez wspomnienia, przez sny, przez to, co dopiero miało nadejść. Przeszłość i przyszłość zlały się w jedno świetliste kontinuum.

Nie panował nad kierunkiem, próbował, ale to było jak nauka jazdy po niebie — każdy ruch, każdy impuls niósł go dalej. Uczył się sterować przepływem, lecz czasu było zbyt mało, a to, co ogarniał wzrokiem, zbyt fascynujące, by chcieć się zatrzymać.

Widział siebie, ale też innych — każdą istotę, jaką kiedykolwiek spotkał. Czuł ich lęki, radość, senne pragnienia i niespełnienia. Był przesiąknięty altruizmem — pragnął wszystkim pokazać, że można żyć inaczej: lekko, czule, wspólnie.

I wtedy, w tym strumieniu światła i wspomnień, doświadczył czegoś, co nazwał później „miłością pierwotną". Nie była skierowana do kogoś, tylko do wszystkiego.

To coś, czego nie da się opowiedzieć słowami: zachwyt istnieniem i nieopisana radość zdominowały wszystko czego doświadczył wcześniej, i jeszcze jedno; znał prawdę o naturze!

Obudził się.

Szorstki język przesuwał się po jego policzku. Odruchowo odsunął ręką przyczynę i otworzył oczy.

Kocur patrzył z góry.
Rozumiał, co ten mrukliwy ton znaczył:
— I co? Fajnie było?

Ziu pokręcił karkiem jak karateka przed walką — coś chrupnęło.

Wracał do żywych.

Głowa lekko pulsowała, jakby ktoś podłączył mu myśli do rezonatora harmonicznego.
— Nie wiem... — wymamrotał, szukając słów.
— Ale... coś się zmieniło.

Mruczek wyprostował ogon teatralnie i zeskoczył na podłogę, machając nim. W kącie, wśród probówek i pustych menzurek, delikatnie błyszczała resztka melasy — jakby pulsowała ciepłym, żywym światłem.

Ziu miał wielką chęć powtórzyć eksperyment z potrójną dawką, ale rozumiał — to musi poczekać. Należało wyniki opisać i metodycznie opracować. Wciąż był owładnięty altruizmem, chęcią niesienia pomocy wszystkim — aż go rozpierało.

Przypomniał sobie, jak zwierzak wyglądał po drugiej fazie eksperymentu — wyraźnie zdziwiony, zakłopotany, z nutą niedowierzania.

Ciekawe...
Czyżby zwiększenie dawki powodowało zaburzenia procesu poznawczego? A może wręcz przeciwnie — chwilowe poszerzenie świadomości, której sam nie potrafił jeszcze uchwycić?

Nad wynikami spędził prawie dwie doby.
Muszę odpocząć - myślał, ale gdy tylko spojrzał na melasę, coś w nim drgnęło. Chcę tam wrócić, rozstrzygnąć, dowiedzieć się, zrozumieć — czy tym, co widziałem, da się sterować.

***

Szaleństwo ogarnęło go, gdy tylko zamknął oczy.
Obrazy zaczęły przesuwać się z prędkością, której nie sposób było uchwycić. To, co widział, nie mieściło się w żadnej znanej mu logice — futurystyczny, nie jego świat.

Nawet język był inny — niby go rozumiał, ale nie potrafił pojąć, o czym mowa. Jakby sens przetłumaczono na coś, czego jego umysł nie miał jeszcze w katalogu.

Odwrócił wektor czasu i pomknął w drugą stronę.
To już potrafił.
Ale nie mógł się zatrzymać, choć rozpaczliwie próbował.

Wreszcie przestrzeń się rozrzedziła.
Zapanowała pustka — czysta, zimna, obojętna.
Gwiazdy układały się w konstelacje, których nigdy wcześniej nie widział. Wiedział, że ich blask jest starszy niż wszystko, co znał.

***

Stanął na równe nogi, jak po ciężkim koszmarze.
Stary budzik — ten sam, którego nie wyrzucił, choć samo jego tykanie odbierało mu sen — odmierzał czas jednostajnie, jakby nic się nie stało.

Ziu spojrzał na datownik z niedowierzaniem. Spał kilka dni.
Popatrzył na kota z miłością.
Mruczek odwzajemnił spojrzenie półprzymkniętymi oczami, jakby chciał powiedzieć:
— Wróciłeś. Dobrze. Ale teraz już nie próbuj tego powtarzać.

Liofilizacja i dylematy konsumenckie

Prace nad końcową formułą trwały jeszcze jakiś czas.
Preparat okazał się zaskakująco elastyczny pod względem obróbki.

Badacz doskonale rozumiał, że potencjalny odbiorca nie będzie chłeptał z koryta. To, co dla fauny Puszczy — i dla niego samego — nie stanowiło większej różnicy, w ogólnym odbiorze konsumenckim mogło być, delikatnie mówiąc, kontrowersyjne.

Postawił więc na liofilizację i suszenie rozpyłowe. Jedynym problemem okazał się etap zamrażania w niskiej temperaturze oraz komora próżniowa, której nie używał od dawna. Jak zwykle — poradził sobie po swojemu.

Na pożółkłej kartce, wśród notatek pełnych wzorów i przekreśleń, spoczywała niewielka kupka brązowego proszku — specyfiku w wersji instant.

„Dużo zachodu…" — mruknął, poprawiając okulary. „Ale to są badania pionierskie."

Rozpierała go duma.

Wiosna Miłości

Tymczasem nadeszła wiosna.
Zwierzęta z nostalgią spoglądały na Wielką Puszczę,
którą niegdyś musiały opuścić z powodów… oczywistych.

Teraz panowała tam cisza – niepokojąca, ale kusząca.
Wydawało się, że powrót jest możliwy,
choć nikt nie odważył się wypowiedzieć tego głośno.

W końcu wydelegowano grupy zwiadowcze,
by sprawdziły, jak wygląda sytuacja na miejscu.
Nie mówiono o „powrocie" – to słowo brzmiało zbyt odważnie.
Używano określenia „rozpoznanie bojem",
i wcale nie było to określenie przesadne.

Wyniki zwiadu okazały się zachęcające. Niebo było czyste, woda w strumieniach przejrzysta, a powietrze — wolne od ciężkiej woni melasy. Po krótkiej naradzie starszyzna fauny podjęła decyzję:

„Najpierw wrócą ptaki."

To one powinny założyć pierwsze gniazda i sprawdzić, czy ziemia znowu nadaje się do życia.
W razie niebezpieczeństwa należało się natychmiast ewakuować — plan był prosty i nie pozostawiał miejsca na bohaterstwo.

Oczywiście, nic z tego nie uszło uwadze Ziu. Jego sumienie uginało się pod ciężarem nieodkupionych win — każdy śpiew, każdy trzepot skrzydeł przypominał mu o skutkach własnej, chorej pasji.

Czekał, aż wrócą wszyscy.
I wtedy… jego plan permanentnego wynagrodzenia krzywd wejdzie w życie.

Cóż mogło pójść nie tak?

Tylko Mruczek wydawał się być niespokojny, jakby chciał powiedzieć: „Ooo kolego — jedziesz prosto na ścianę!”

Starannie się przygotował.

Odmierzył dawki, sprawdził hydrologiczny stan okolicy, określił warunki pogodowe. Wreszcie zgromadził odpowiednią ilość hermetycznie zamkniętych zasobników, ukrywając je ostrożnie, by nie spłoszyć — i tak już wyczulonych na jego osobę współmieszkańców lasu.

I kiedy słońce na dobre zadomowiło się na majowym niebie, badacz postanowił wdrożyć fazę beta.

Pod osłoną nocy, skrupulatnie unikając kryjówek borsuków, nietoperzy i innych stworzeń nocnych, spenetrował wszystkie cieki wodne i wodopoje, dokładnie odmierzając dawki i wsypując swój instant.

Cieszył się przy tym jak dziecko.
— „Niech i oni doświadczą tego uniesienia, altruizmu, którego ja jestem żywym przykładem” — szeptał, stojąc po kolana w zimnej wodzie.
— „To ich uskrzydli, pozwoli inaczej spojrzeć na świat!”

I… uskrzydliło.

Pierwsze symptomy pojawiły się natychmiast. Zapanowała ogólna wesołość, a wśród mieszkańców Puszczy obudził się niepohamowany pęd do organizowania się w grupy — świętujące, tańczące, wzajemnie się adorujące. Na początku trzymano się jeszcze własnych gatunków, lecz ta bariera szybko się rozmyła.

Już drugiego dnia widywano wilcze szczenięta jeżdżące na jeleniach i kuropatwy wysiadujące jaja na zapleczu borsuczych nor.

Kulminacja przyszła w środku tygodnia. Wiewiórki wprowadziły się do lisów, słusznie uznając, że nie ma nic przyjemniejszego, niż okryć się lisią kitą w chłodną, majową noc.

A intensywność tylko rosła.

Masowe imprezy integracyjne odbywały się w każdym zakątku lasu. Dzień i noc słychać było muzykę, chóralne śpiewy i nieustającą radość.

Takiego tempa nikt nie mógł wytrzymać.

Uczestnicy — jak później nazwano ten fenomen, festiwalu miłości — pod koniec tygodnia nie byli już w stanie utrzymać się na nogach. Powieki same opadały, a ci, którzy jeszcze trwali na placu zabawy, zataczali się, potykali… i dalej bawili.

Wczesny świt, cisza po burzy, powietrze ciężkie od wilgoci. Mglisty Ziu, z torebką proszku o właściwościach „altruistyczno-euforycznych”, stanął nad strumieniem jak prorok nad losami świata.

Świadkowie zgodnie przyznają, że kiedy pierwszy pył dotknął wody, Puszcza rozbłysła delikatnym światłem, a kot — gdzieś w tle — tylko westchnął:
„Stary — ostrzegałem Cię.”

Mglisty, widząc, co się dzieje, przerwał dystrybucję swojego produktu i odciął społeczność od przyczyny zbiorowej euforii.

Jednak inercja procesu była ogromna — zjawisko wyhamowało dopiero po kilku dniach. Niektórzy ledwo zipali, inni zasypiali w pół słowa.

Szczęśliwie Wielka Puszcza zamilkła ponownie — tym razem z zupełnie innego powodu.

Obyło się bez strat.

Większość zasypiała tam, gdzie środek przestał działać, a tylko nieliczni zdołali doczołgać się do własnych legowisk.

Naukowiec podjął drastyczne środki:
postanowił przekazać zapasy herbatki oraz przepis jej wytwarzania pod baczne oko Dzikich Smoków, zastrzegając sobie jedynie prawo do badań nad jej rozwojem oraz ograniczoną dystrybucję w obrębie własnej polany.

W zasadzie wszystko skończyło się szczęśliwie,
choć pokłosie jego działalności było widoczne w czasach, gdy do Wielkiej Puszczy przybyła porwana Królowa.
Jeszcze wtedy nikogo nie dziwił widok lisa z kitką wiewiórki — i vice versa.
Na całe szczęście, te krzyżówki okazały się niepłodne…

Mruczek patrzył w dal, z wyraźnym poczuciem ulgi. Wszystko wróciło do normy — przynajmniej tak się wydawało.
Choć z Mglistym, jak powszechnie wiadomo - nigdy nic nie wiadomo.